№ 41. Warszawa, dnia 29 Września (11 Października) 1890 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1. **Na Prowincyi** rocznie rs. 5, półrocznie rs. 2 kopiejek 50, kwartalnie rs. 1 kop. 25. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 2, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 2 cen. 30. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 2 centów 30. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 3, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 3 pf. 50.

Adres: Emil Skiwski w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

KRONIKA PARYZKA.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

(Dokończenie.)

Tak wiele pisano już o Napoleonie I-ym, tak ściśle roztrząsano jego czyny, słowa i myśli, że przedmiot zdawał się do gruntu wyczerpany; a jednak Anglicy, niezmordowani w poszukiwaniach, odkryli w życiu cesarza stronę mało dotychczas znaną. Autor angielski Bingham wydał obszerne dzieło, ukazujące Napoleona swatem; kreśli statystyczny wykaz małżeństw przez niego skojarzonych. Dzieło to przetłumaczył i wydał w streszczeniu znany publicysta francuzki Armand Barina.

Napoleon powtarzał często, że każdy człowiek powinien się koniecznie ożenić. Wierny tej zasadzie, łączył pary z wielkiem upodobaniem. Napróżno oficerowie przedstawiali mu, że patrząc bezustanku w oczy śmierci, nie mogą myśléć o urządzeniu sobie domowego ogniska.

— Tembardziej — odpowiadał — wypada wam brać żony, aby ślad życia pozostawić po sobie.

Umiał on pomagać, rozkazując. Ułatwiał sam trudności, wyposażał ubogie panienki, przełamywał opór rodziców, w krótkich też chwilach spoczynku, między jedną a drugą wyprawą, małżeństwa wiązały się bezustannie.

Kiedy Napoleon ogłosił się cesarzem, wydał rozkaz, aby na uczczenie dnia tego sześć tysięcy żołnierzy pojęło żony wciągu dwudziestu czterech godzin. Wkrótce podobny rozkaz otrzymali urzędnicy.

Jednego wieczora, jadąc z adjutantem swoim Lavelettem, cesarz oznajmił mu, że chce, aby pojął za żonę pannę Beauharnais, bratankę pierwszego męża Józefiny. Nazajutrz rano zawiózł go do pensyonatu, gdzie panienka kończyła nauki, przedstawił jej narzeczonego, pozostawił mu kwadrans czasu do oświadczenia się.

W tydzień para stanęła przed ołtarzem. Było to szczęśliwe i wzorowe małżeństwo. Historya zapisała bohaterskie poświęcenie tej kobiety. Kiedy w roku 1815 mąż, wierny do końca cesarzowi, skazany był na śmierć przez Burbonów, żona, odwiedziwszy go z córką w przeddzień egzekucyi, zamieniła z nim suknie i w jego miejsce pozostała w więzieniu.

W podobny sposób Napoleon skłonił do związków generała Davoust'a.

Generał Leclerc, szwagier cesarza, mąż Pauliny Bonaparte, mianowany został dowódcą wyprawy na wyspę San-Domingo. Pragnął on pozostać w Paryżu. Przedstawiał cesarzowi, że jako opiekun siostry, osieroconej po rodzicach, opuścić jej nie może.

— Nie lękaj się — odpowie Napoleon, — nim upłynie dwadzieścia cztery godzin, siostra twoja mieć będzie opiekuna, poprowadzisz ją do ołtarza i pośpieszysz do San-Domingo.

W tejże chwili nadchodzi Davoust.

— Z czem przybywasz? — zagadnie Napoleon.

— Przybywam uwiadomić waszą cesarską mość, że wybrałem sobie małżonkę, panią F., wdowę.

— Mylisz się — przerwie Napoleon — poślubisz pannę Leclerc i to wprzeciągu dwudziestu czterech godzin.

Davoust pośpieszył zaraz do panny Leclerc. W tym samym dniu odbyły się gody.

Generał Bertrand wpadł w sidła młodej kobiety, która dręczyła go niesłychaną zazdrością. Zniecierpliwiony użalił się raz przed cesarzem.

— Bądź spokojny — rzekł Napoleon, —jutro ci już zazdrością nie dokuczy.

Tegoż dnia wysyła poufnego dworzanina do jednego z małych, panujących książąt niemieckich, który z córką przebywał w Paryżu i oznajmia mu swoje zamiary.

Nazajutrz przywołuje Berthiera.

— Pójdziesz zemną — rzecze, — nie traćmy ani chwili.

W kilka minut potem wchodzą do salonu księcia.

— Mości książę — zagadnie cesarz, — to mój przyjaciel a przyszły zięć twój; Berthier, oto twoja żona — dodał, ukazując pomieszaną panienkę.

W trzy dni potem nastąpiło wesele. Książę rad przystał na układ; obdarzony hojnie, popłacił swoje długi. Księżniczka pozostała zawsze wierną i przywiązaną żoną.

Nie poprzestając na kojarzeniu stadeł, cesarz zajmował się ich losem, udzielał pomocy w potrzebie. Rzecz dziwna, te małżeństwa, zawiązywane na komendę, były zazwyczaj zgodne i szczęśliwe. Zdarzały się jednak wyjątki. Do takich należał związek panny Tacher, krewnej Józefiny, z księciem Arenberg.

Narzeczona, pociągnięta gwałtem do ołtarza, opuściła męża zaraz po ślubie. Próżno Napoleon groził jej żandarmami.

— Czyń jak chcesz, najjaśniejszy panie—odrzekła biedna,—ja żoną jego nie chcę być i nie będę!

— Szalona głowa kreolki! — zawołał z gniewem Napoleon, ale nie posłał żandarmów.

Po upadku cesarstwa, księżna Arenberg otrzymała rozwód i weszła w nowe związki.

* * *

Od lat kilkunastu, w ogrodzie aklimatacyjnym, mamy sposobność poznać razporaz jakiś nieznany lud z krańców Afryki, Azyi lub południowej Ameryki.

W tym roku przypadła kolej na Somalisów, plemię koczujące po północno-wschodnich stepach afrykańskich, na brzegach oceanu Indyjskiego. Sprowadzono ich dwudziestu sześciu, między nimi parę kobiet i dzieci. Wzrost ich wysoki, rysy kształtne, cera mniej więcej brunatna, wszystko to przypomina typy egipskie z epoki Faraonów, znane nam z malowideł na starożytnej ceramice.

Odzież ich prosta, składa się z wielkiej płachty białej lub w kolorowe pasy, albo w kratę, przewieszonej przez ramię, ułożonej w dość malownicze draperye, nakształt rzymskiego peplum. Włosy krótkie, bujne, utrefione w mnóstwo drobnych pierścieni, nadają głowom jakiś pozór barani; wrażenie to znika po bliższem rozpatrzeniu się w kształtnych rysach. Te włosy, z natury czarne, wnosząc z ciemnej cery, przybierają kolor czerwony wskutek narzucania ich wilgotnem wapnem. Kobiety noszą takąż samą ale długą do ziemi odzież, głowę mają podobnie utrefioną, na szyi i piersiach mnóstwo paciorków pomieszanych ze srebrnemi blaszkami na ręku takież bransolety.

Uzbrojeni w dzidy, topory, łuki, maczugi i tarcze ze skóry nosorożca, Somalisy przedstawiają się jak one wojownicze zastępy, malowane na murach odkopanego niedawno pałacu Sezostryza. W walce bezustannej to z sąsiedniemi ludy, to przeciw lwom, lampartom, hyenom, krokodylom i wężom jadowitym, nie wypuszczają z rąk oręża. Liczne karawany padły ofiarą ich okrucieństwa i chciwości.

Na wielkim, zagrodzonym placu, widzimy ich koczownicze budy, pokryte suchą, skręconą trawą.

Po zaimprowizowanem obozowisku przechodzą dromadery i strusie. Pióra tych ptaków stanowią dla Somalisów najważniejsze źródło dochodu. Nigdy też nie zabijają strusia, ale chwytają go upojonego jakąś narkotyczną gałką, oskubują go z pierza i puszczają swobodnie na step, gdzie nagi ptak wraca zimą do normalnego stanu.

Widzieliśmy ich tańce, nadzwyczaj dzikie, są to raczej wojenne igrzyska. Dzida uderza o dzidę, tarcza o tarczę, do taktu ze śpiewem zarówno barbarzyńskim.

Zagorzali wyznawcy koranu, odstąpili przecież niektórych przepisów Mahometa; kobiety nie zasłaniają wcale twarzy.

O pracowitości i przemyśle tych kobiet świadczą zebrane na okaz rozmaite ręczne wyroby. Obok tkanek z miejscowego włókna, spostrzegamy zgrabne różnokolorowe koszyki, plecione z liści aloesu, naszyjniki przewłóczone ze szkiełek i blaszek świecących, siodła i torby ze skóry gazeli i antylopy, ozdobione muszlami. Somaliski pracują wytrwale, tymczasem mężowie i bracia uganiają się za zwierzem po głuchym stepie, łowią ryby w głębi oceanu, lub też biją się między sobą.

DZIĘKCZYNIENIE.

Dzięki ci! pośród nieszczęść i mroku powodzi,
Ty jesteś gwiazdą dla mnie, co nigdy nie [schodzi
Z nieba mego i zawsze przyświeca mi jasno.
Ty świeżą jesteś dla mnie gałązką oliwną,
Co nie więdnie i własność posiada przedziwną
Godzenia mię ze światem i z mą myślą własną.

Ty jesteś tą cudowną lampą Aladyna,
Która pośród ciemności blask szerzyć poczyna,
Gdy zbłąkany wędrowiec traci ślad swej drogi.
O! ty jesteś przytomną dla wzroku mej duszy:
Obraz twój mię poprzedza w dzień czy w nocnej [głuszy
I uśmiech zeń widnieje promienny i błogi.

Dzięki ci za to wielkie miłości uczucie,
Jakiem ty mię natchnąłeś! W każdej życia nucie
Brzmi ono mi wyraźnie tony anielskiemi
I podaje roztruhan napełniony miodem,
Gdyż z tobą zawartego ślubu jest obchodem
I na twych białych skrzydłach uniesie mię z ziemi!

M. H. Truszkowski.

LEŚNICZY.

OBRAZEK WIEJSKI

PRZEZ

Klemensa Junoszę.

(Dalszy ciąg.)

Pan Mieczysław uśmiechnął się szydersko.

— Doprawdy — rzekł — nie wiedziałem, że w okolicy tej panowie oficyaliści miewają wybryki złego humoru; gdzieindziej to się nie praktykuje.

— Zwracam uwagę, że oficyalistą pańskim nie jestem i zarazem mam zaszczyt pożegnać pana.

— Proszę! a może raczysz pan przyjść do pana Hieronima, do kancelaryi, może pan uznasz, że pan Hieronim ma niejakie prawo zadać panu kilka pytań..

— To co innego, pan Hieronim w nieobecności właściciela prawo takie ma.

— Więc proszę pofatygować się do niego.

Kaliński rozśmiał się na głos.

— Trzeba było odrazu powiedzieć — rzekł — że pan Hieronim przysłał szanownego pana po mnie... bylibyśmy uniknęli konieczności niemiłych wyjaśnień. Proszę oświadczyć panu Hieronimowi, że za kwadrans przyjdę.

Winterblum pobiegł do przyjaciela swego, wściekły ze złości. W urywanych wyrazach opowiedział mu całą scenę i zakończył temi słowy:

— Ceremonii z nim nie rób... wypędź odrazu na cztery wiatry! Niech się zaraz wynosi ztąd, zaraz, natychmiast! Nie pozwolisz chyba, żebym mia znosić impertynencye od jakiegoś ekonoma.

Pan Hieronim brwi zmarszczył i po namyśle rzekł:

— No, no, co się dzieje, co się dzieje! Zkąd w tobie taka gorączka, a przecież chwalisz się, że masz zawsze zimną krew i rozwagę.

— Mam, ale w tym razie nie! Obrazy honoru nie zniosę.

— Mieciu kochany, przypomnij sobie... nie takie obrazy znosiłeś i przyjmowałeś je z filozoficznym spokojem.

— Proszę mi żadnych wymówek nie robić, a tego łotra wypędzić, bo... gotów jestem posunąć się do ostateczności...

— Uspokój się. Ja ci powiadam, że zwłaszcza teraz nietylko go wypędzać, ale nawet zadzierać z nim nie można. Powtarzam zwłaszcza teraz. Coś tu się zrobiło, położenie jest niewyjaśnione. Kaliński jeden prawdę może wiedzieć i jestem prawie pewny, że wie, a przytem on wogóle dużo wie, nawet zadużo, chociaż tego nie pokazuje po sobie. Drażnić go tedy nie radzę. Przeciwnie, łagodzić raczej trzeba. Złością i gniewem nie zajedziemy daleko.. ja ci to mówię, ja prędki, ja gorączka... Znasz mnie i wierzysz zapewne, że z przyjemnością pogruchotałbym kości temu mrukowi, a przecież trzymam ręce przy sobie...

W tej chwili wszedł właśnie Kaliński; pan Winterblum cofnął się do okna.

— Życzył pan sobie — rzekł leśniczy — widzieć się zemną? Otóż jestem.

— Proszę bardzo, niech pan usiądzie. Właściwie nie miałem zamiaru niepokoić pana po nocy ale tak się złożyło... pan wyjeżdżał?

— Tak, sprawunki były potrzebne, więc załatwiłem je. Chodzi panu zapewne o rachunek? możemy go zrobić w tej chwili.

— A cóż pilnego? Jutro będziemy mieli na to czas, lub pojutrze, kiedy panu dogodniej. Jakże tam z gospodarstwem? co słychać?

— Wszystko jako tako... nieszczęścia żadnego nie było, klepiemy biedę podawnemu.

— Powiedz mi pan z łaski swojej, zkąd Ludwikowi przyszła myśl wyjazdu?

— Doprawdy nie wiem. W ostatnich czasach rzadko bywałem we dworze, a z panem dziedzicem prawie nie rozmawiałem. Zawołał mnie, zalecił żebym się postarał o pasport dla niego i dla córki, spełniłem to... potem kazał przygotować pakunki, konie i zabrawszy córkę, pojechał. Podobno do Galicyi, gdzie, o ile wiem, ma krewnych...

— Tak; że ma to wiem, ale i to mi też wiadomo, że żadnych z nimi stosunków nie utrzymywał.

— Mnie bo o tem nic nie wiadomo.

— A czy nie wspominał, kiedy zamierza powrócić?

— Nie.

— Zastanawia mnie w tem wszystkiem jedna okoliczność, którą może pan potrafi wyjaśnić. Taka podróż, bądź-co-bądź, pociąga za sobą pewne koszta, a Ludwik przy pieniądzach nie był. Czy sprzedaliście co?

— Byłaby to zapewne najprostsza droga, gdyby o pieniądze chodziło, ale dziedzic wcale tej kwestyi nie wszczynał i wogóle bardzo mało zemną rozmawiał, tyle tylko, że wydał dyspozycye dotyczące wyjazdu i na pożegnanie powiedział mi: „bądź zdrów."

— Prawdopodobnie pożyczył sobie na drogę?

— Wątpię. Od czasu wyjazdu panów, nie pokazał się tu ani jeden Żyd. Gdyby tak było, jak pan przypuszcza, to ja wiedziałbym coś o tem.

Kaliński mówił to z miną bardzo dobroduszną, a Winterblum, obserwujący go bacznie, nie dostrzegł ani śladu zakłopotania na jego twarzy.

— No, panie Kaliński — rzekł pan Hieronim — zapewne chce pan udać się na spoczynek. Dziękuję za łaskawe objaśnienie i przepraszam najmocniej, żem pana fatygował.

— Nic to nie szkodzi, bo ja również miałem do pana interes i rad będę załatwić go za jedną drogą.

— Proszę pana; o cóż to idzie?

— Widzi pan, ja odjechać muszę i to na dość długo, na jakieś dwa, a może i na trzy tygodnie.

— Czy także do Galicyi?

— O! w inną zupełnie stronę. Doniesiono mi, że spadła na mnie sukcesyjka. Jest-to drobiazg, tysiąc rubli, ale rozumie pan, że dla biednego oficyalisty ma to swoje znaczenie. Otóż proszę o urlop.

— Kiedyż pan ma zamiar wyjechać?

— Jutro, może pojutrze. Naturalnie, że im prędzej, tem lepiej. Ja bałamucić nie będę, załatwię się, o ile możność pozwoli, jak najprędzej.

— Ha, skoro sukcesya, niechże pan jedzie... życzę, abyś ją pan wywindykował bez trudności.

Kaliński skłonił się i wyszedł.

— I cóż myślisz o tym niedźwiedziu? — zapytał pan Hieronim, — czy wierzysz temu co opowiada?

— Nie wiem. Jeżeli jednak kłamie, to, przyznam się, bardzo zręcznie. Opowiadanie jego ma wszelkie pozory prawdy.

— Wierz mu!

— O, zaraz wierzyć! Ja nie jestem tak łatwowierny, jak ci się zdaje, ale w tym razie dowodów rzeczywistego kłamstwa nie mam. Mogę przypuszczać, mogę podejrzywać.

— No, kochany Mieciu, to ja ci powiem, co myślę. On nam nie powiedział ani jednego wyrazu prawdy. On doskonale wie, dokąd się Ludwik udał, on mu w tem dopomógł, on nie otrzymał żadnej sukcesyi i wcale nie po nią jedzie... i on w ostatecznym rezultacie przystawi nam takiego stołka, co się nazywa... a to wszystko z twojej winy.

— Z mojej?

— Spodziewam się, że nie z mojej. Ja miałem plany dobre. Okoliczności postawiły cię na mej drodze. Pokrzyżowałeś mi je.

— W każdym razie nie z twoją krzywdą i nie bez twego udziału.

— Tak, ale należało trzymać się jednego. Celem naszym były pieniądze i gdyby nie twoja głupota, to prędzej czy później doszlibyśmy do rezultatu. Ludwik ufał ci bardziej, niż mnie... bylibyśmy sprzedali las, pozaciągali pożyczki i drapnęli w świat używać owoców swej pracy... ale tobie mało było pieniędzy, zachciałeś mieć jeszcze śliczną żonę.

— Alboż mi nie wolno się żenić?

— Nonsensa mówisz. Jesteś niemłody i brzydki jak nieszczęście.

— O, tylko bardzo proszę!

— No, więc zwracam honor, jesteś piękny, jak młody krokodyl... i z tą fizyognomią płaza wdzięczyłeś się do szesnastoletniej dziewczynki. Rzecz prosta, że cię znienawidziła i zrobiłeś sobie z niej śmiertelnego wroga.

— Cóż mi ona może uczynić?

— Ja nie wiem... bo dopiero teraz konmbinuję wszystkie okoliczności, ale to ci powiadam, że wogóle z kobietami wojować niebezpiecznie...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z PAMIĘTNIKÓW PODRÓŻY

odbytej przez

panią Durand Fardel

do Shanghai i Jeddo.

(Dokończenie.)

Okolice Shanghai nie mają w sobie nic pięknego, dopiero o kilka mil zaczyna się falistość gruntu, lecz chcąc tam się dostać, trzeba poświęcić na wycieczkę najmniej dwadzieścia cztery godzin.

Spacer do Pagody, gdzie można dojechać na śniadanie, jest najbliższym i dlatego najczęściej odbywanym. Potem wycieczka do Pagórków bardzo piękna, lecz wymagająca kilku dni czasu. O sześć kilometrów od Shanghai leży wioska Sikawei, do której można jechać dwiema drogami, wybornie ubitą szosą. Tam to znajduje się wspaniały zakład jezuitów, którzy mają pozwolenie na zamieszkiwanie w tej tylko prowincyi i w drugiej, zwanej Chili, a położonej blizko Pekinu.

W Sikawei założoną została pierwsza i, jak sądzę, jedyna w całych Indo-Chinach stacya meteorologiczna, przez jezuitów, ludzi bardzo wysoko wykształconych. Jest tam także dom przytułku dla sierot chłopców, których wyuczają tu różnych rzemiosł: stolarstwa, rysunków w zastosowaniu do rękodzieł, drukarstwa, szewctwa i t. p. Warsztaty w Sikawei zaopatrują wszystkie kościoły w Indo-Chinach w aparaty i urządzenia kościelne.

Znajdują się tam również zakonnice, mające dom przytułku i szkołę dla dziewcząt, które rodzice oddają im lub sprzedają. Prócz tego oddział dla niemowląt wzorowo utrzymywany, gdzie ze wzruszeniem widziałam te nieszczęśliwe istotki, pomieszczone wygodnie, w czystych kołyskach, i otoczone serdeczną opieką. Dalej znów starsze dziewczynki uczące się katechizmu i różnych rzemiosł; rodzaj edukacyi i tu zastosowany jest tak, jak w Singapore do przyszłego stanowiska w świecie: jedne uczennice mają powrócić do domu rodzicielskiego i żyć w towarzystwie chińskiem, a innych losem jest służba.

Jest także tutaj pewnego rodzaju seminaryum, w którem edukują Chińczyków przeznaczonych do stanu duchownego, a gdzie ojcowie, zmęczeni nieustanną pracą, przyjeżdżają na wypoczynek lub na emeryturę. Pobyt tu piękny, wszystko oddycha spokojem i nauką, co dziwnie odbija od rozgorączkowania i ruchu europejskich dzielnic Shanghai i od mrówczego tłumu uwijającego się w chińskiem mieście.

Okolicę Shanghai zdobi świetna zieloność, lecz jest ona trochę jednostajną. Grunta żyzne; uprawiają tu zboże, ryż, bawełnę; płody europejskich krajów udają się wogóle dobrze, tylko grusz i jabłoni nie udało się dotąd przyswoić.

Owoców krajowych mnostwo, poziomki niezmiernie wonne i smaczne. Ogrody warzywne, otaczające miasto, są bardzo dobrze utrzymane, jarzyny dobre i piękne.

Ogrodnictwo też bardzo rozwinięte, bo Chińczycy są w niem prawdziwie rozmiłowani, z czego Europejczycy w Shanghai korzystają; wszystkie europejskie kwiaty są tu uprawiane obok tutejszych krajowych. Tylko bzu wcale nie mają; może nie próbowano go dotąd sadzić? Mówiono mi jednak, że jezuici w Sikawei mają jeden krzak. Co mnie zastanawiało, to że drzewa pomarańczowe rosną tu w gruncie, pomimo że zima często bywa ostra. Wyborne winogrona, czarne Masselas, które całą zimę jedzą w Shanghai, przywożone są z Tien-tsin. Miejscowość ta, choć bardzo na północ położona, dostarcza ich w wielkiej obfitości i w doskonałym gatunku.

Wszystkie produkta są bardzo tanie na targu, lecz chcąc je nabyć, trzeba używać pośrednictwa chińskich bry, którzy tak jak nasze kucharki rachują prawie podwójnie to, co kupują.

Drób lub bażant kupiony za dwadzieścia pięć centymów, kosztuje w domu dwa razy tyle; tak samo zające, kuropatwy, sarny. Wogóle życie jest niedrogie, tylko mieszkania kosztowne, ale też zato domy wygodne, obszerne, egzystencya swobodna i łatwa. Gdyby nie to, że z Francyą łączą mnie nierozerwalne węzły, zgoozilabym się z łatwością na zamieszkanie w tym ucywilizowanym kącie Państwa Niebieskiego.

Na zakończenie listu opiszę wam obiad w chińskiej restauracyi, zwanej Tien-tsin, na który zostaliśmy zaproszeni przez pana Little, Anglika, chcącego nam pokazać sposób podejmowania gości w Chinach. Obiad został zamówiony w przeddzień. Pan Little i jego brat doktor, przybyli po nas o szóstej wieczorem i pojechaliśmy razem na miejsce. Przed drzwiami restauracyi stał zbity tłum, który na nasz widok rozstąpił się, zostawiając nam wolne przejście. Przybycie nasze zrobiło wrażenie, bo kobiety europejskie rzadko bywają w chińskich restauracyach. Gospodarz już czekał, przyjął nas z oznakami wielkiego uszanowania i zaprowadził do zatrzymanego na nasz użytek salonu. Lekka woń kadzideł unosiła się w powietrzu i stół zastawiony porcelaną taką, jaką my miewamy tylko w zbiorach osobliwości, stanowił dla naszych oczu przedmiot zaciekawienia.

Oto spis potraw i porządek w jakim je podawano:

MENU.

Pierwsze danie:

Ziarna arbuza smażone.
Orzechy w cukrze.
Trzcina cukrowa.
Pomarańcze.
Ślimaki z imbierem.
Suszone ryby.
Różne sosy.

Krewetki.
Szynka.
Peach cuols (jądra z pestek brzoskwiniowych suszone i solone).

Drugie danie:
Zupa z gniazd jaskółczych.
Skrzela rekinów.
Grzyby rosnące na drzewie.
Huhu (kotlety z ryby z konfiturami).
Naleśniki.
Kaczka z żywicą.
Gorące bułeczki.
Sulfur (purée z jaj, z mięsem kaczki i utartą na proszek szynką).
Kotlety z drobiu z młodemi pędami bambusowej trzciny.
Grzyby mongolskie z plasterkami trzciny bambusowej.
Pudding z ryżu.
Anemony i ślimaki z rosołem z kaczki i z kurczęcia, z szynką i młodemi pędami bambusa.

Trzecie danie:
Ciasto smażone (coś w rodzaju pączków).
Pączki z lilij wodnych, gotowane w wodzie.
Zupa z ryżu z migdałami.
Siekane mięso raka morskiego z czosnkiem, między dwiema warstwami smażonego ciasta zawinięte.
Marmolada z melona.
Pierożki z siekanej wołowiny z imbierem, gotowane na wodzie z dodatkiem sosu Soya.

Czwarte danie:
Zupa z płatkami młodego bambusa.
Zupa z krwi kurcząt i kaczek z różnemi przyprawami.
Ryż gotowany na wodzie.
Herbata.

Wina chińskie.

Prócz tego pan Little kazał przynieść kilka butelek szampańskiego wina, co nam dopomogło do przełknięcia wielu rzeczy, któreby inaczej nie przeszły.

Otóż i spis wykwintnego chińskiego obiadu, skróconego do połowy, gdyż zazwyczaj składa się on conajmniej z sześćdziesięciu potraw. Lecz nasi gospodarze, wiedząc że cierpliwość francuzkich żołądków nie wystarczy na taki poczet potraw, zmniejszyli go o połowę; i tak dosyć czasu przepędziliśmy przy stole, ale Chińczycy chętnie całą noc nawet trawią nad jedzeniem.

Zamiast talerzy, podają miseczki różnych rozmiarów, a do jedzenia tradycyjne pałeczki, lecz dodają do nich porcelanowe łyżki i małe widelki metalowe. Nauczyliśmy się dość zręcznie władać pałeczkami, potrzeba na to tylko czasu.

Do obiadu należą także fajki; kilku boy jest na to wyłącznie przeznaczonych, że stojąc za krzesłami biesiadników, podają od czasu do czasu fajkę, z której pociąga się dwa razy i zabiera napowrót do jedzenia. Jeszcze drugie urozmaicenie, mniej niedorzeczne niżby się zdawało napozór: dwa lub trzy razy wciągu obiadu podają serwetkę wielkości takiej, jak nasze deserowe, zmoczoną w bardzo gorącej wodzie. Kładzie się ją na twarz, co robi taki efekt, jak u nas podanie sorbetów przed pieczystem: ochładza, podnieca apetyt i czyni człowieka zdolnym do jedzenia dłużej i więcej. Ja, wyznaję, jadłam cały obiad i uważam, że niektóre rzeczy były bardzo dobre, lecz Maks, podczas gdyśmy jedli, zabawiał się spisywaniem podawanych potraw, bo ani on, ani Regina nie mogli się odważyć na kosztowanie wszystkiego i jedli tylko niektóre z tych wyszukanych przysmaków. Zdaje się jednakże, że obiad był ostatnim wyrazem wykwintu i że kucharze sami siebie przeszli.

W osobnych pokojach przy każdej restauracyi są zawsze łóżka do palenia opium, lecz nasi panowie nie uważali za potrzebne próbować tej przyjemności.

Wyszedłszy z obiadu, udaliśmy się do teatru, gdzie byliśmy jeszcze przed wycieczką do Japonii. Weszliśmy tam poraz ostatni, na pożegnanie, dla przepędzenia ostatniego wieczoru; przeszło godzinę przypatrywaliśmy się skokom aktorów. Potem, czując potrzebę wypoczynku po męczącym obiedzie, wróciliśmy do domu.

Cóż mam jeszcze dodać na zakończenie? Chwila odjazdu niebawem nadejdzie; zapominam o radości, jaką mi sprawi ujrzenie was wszystkich, a myślę tylko o żalu, który tu za sobą zostawiam.

KONIEC.

Arystokracya... w powieści.

Les extrêmes se touchent. Młody i rzutki talent autorki „Dewajtisa" ukazał nam twórczość swą w dwóch odrębnych zupełnie oświetleniach. Obok bladej w kolorycie, a znanej już w głównym motywie, powieści ludowej, p. t. „Szary proch," powtarzającej na tle wieśniaczem to wszystko, co wpierw już romans „Między ustami a brzegiem puharu" wypowiedział, p. Rodziewiczówna dała nam równocześnie „Błękitnych," rzecz osnutą na stosunkach najwyższej arystokracyi.

Posądzić utwór ten o „bladość" byłoby istną niesprawiedliwością. Przeciwnie; wre on i kipi, intuicya zaś autorki, nie zawsze na właściwe trafiając odcienie, umiała tu jednak, lepiej niż w „Szarym prochu," charakterystycznych dobierać barw. Jedność rozwoju umysłowego i cywilizacyi zbliża więcej rzutki i postępowy jej umysł do szczytu, niż do podstaw narodu. Że w przewodnikach tych, zmartwiałych poniekąd, chciałaby obudzić życie, temu dziwić się trudno; czy jednak w zadaniu podobnem, przez tyle już piór przedsiębranem, szarża i przesada może jakie przynieść korzyści, o tem pozwalamy sobie wątpić. W każdym razie, jakkolwiek „Błękitni" nie są wolni od ulubionej przez p. Rodziewiczównę tytanicznej postaci Wyrwidęba i Waligóry, który dziesięcioma palcami wszelkie pokonywa trudności (Grzymała), jakkolwiek i tu powtarza się motyw miłości, odradzającej głównego bohatera i zjednywającej go dla ziemi rodzinnej, jednakże winszujemy utworu tego autorce, jestto bowiem pierwsza bodaj praca po „Dewajtisie," której nie można uważać za prostą trawestacyę poprzednich.

Na zamku w Holszy — opowiada w barwny sposób p. Rodz. — niezwykłe panowało ożywienie. Rodzina książęca zjechała się witać Leona, czyli Lwa Holszańskiego, który, wskutek niespodziewanej śmierci brata, stał się nagle panem olbrzymiej ordynacyi. A Holsza owa, wspaniałe to gniazdo. Władzcy jej do najpierwszych magnatów w kraju się liczą. Dumna z potęgi swej, stara księżna za udzielną niemal uważa się królowę, otoczona zaś nierozerwalną siecią etykiety, zasuszona żywcem wśród form jej i formułek, w pysze nie zna granic. Pycha ta jednak przez nagłą śmierć starszego syna niepowetowany cios poniosła. Tamten był nieodrodnym spadkobiercą arystokratycznych poglądów matki, młodszemu Leonowi jakiś zły wiatr do duszy rzucił ziarno innych dążeń i innych poglądów. Wszak przed kilku laty ośmielił on się zakochać w lektorce księżnej, a siostrze rządzcy; spiorunowany zaś ostremi słowami matki, odważył jej się powiedzieć, iż pannę Grzymalankę za narzeczoną swą uważa i że z nią jedną się ożeni. Wprawdzie wobec groźby sponiewierania i hańbiącego wypędzenia Gabryni z pałacu wyrzekł się tej myśli, piśmiennie wobec matki żegnając ukochaną, niemniej poprzysiągł, iż słowa danego jej nie złamie i nie mogąc poślubić wybranej, z nikim innym losów swych nie połączy.

Stara księżna, pamiętając dobrze groźną scenę, po której nastąpił natychmiastowy wyjazd Leona za granicę, z obawą pewną spoglądała na syna, bo wszak szaleniec ten, najniespodziewaniej po ulubieńcu jej władzę i tytuł obejmował.

Bystry jednak rzut oka uspokoił ją zupełnie. Świat zwracał jej syna takim, jakim go mieć pragnęła; z Lwa zrobił on wybladłego, zdenerwowanego, zmorfinizowanego zdechlaka, który, korzystając z przywilejów swych, pragnie tylko nic nie robić, nic nie myśleć, nic nie czuć. Prawa etykiety jedynie elektryzują go i do życia budzą, poza niemi zapada w letarg duchowy i nicość moralną.

Wyzięblona, zamarła ta lalka, stanąwszy na czele książęcych dóbr holszańskich, zarząd ich oddaje w ręce całej zgrai łupiezkich Niemców, sam zaś nieczuły na łzy i krzywdę ludzką, żyje w otoczeniu czczem, głupiem, bezdusznem, które autorka chłoszcze z niemiłosierną satyrą, lecz zarazem z przesadną nieco szarżą.

Oto na przykład cała pałacowa kawalkada, wyjechawszy konno na spacer, trafia na pogorzelisko, otoczone jeszcze przez nieszczęsnych, dachu i chleba pozbawionych wieśniaków.

— Tiens, czego oni chcą, ci dzicy? — zawołała panna Lawinia.

— Zapewne wsparcia — obojętnie odparł Leon, wyjmując portmonetkę z kieszeni i rzucając ją w tłum.

— Jaki tu swąd! — skrzywiła się księżna Idalia.

— Za granicą tych ludzi pokazywanoby w cyrku. Widziałam w Paryżu bardzo podobnych Czypajów-Indyan — dodała Lawinia.

Oto jedyne, z ust kobiet przeważnie wyszłe, słowa współczucia. Na uwieńczenie ich, książę Leon

każe, błagających go o pomoc pogorzelców, batogami rozpędzać.

Nie wyłączny to przykład. Spotkawszy nieco dalej obłąkanego starca Sumoroka, książę ordynat krzyczy, dygocąc:

— Z drogi!

Panie znajdują, iż dobry jest na wisielca, a hrabia obiecuje mianem jego konia swego nazwać.

Otóż sądzę, że nawet w satyrze należy miarę pewną zachować. Nikt bardziej nie schłostał arystokracyi, jak Prus w „Lalce," a jednak nigdzie on jej nie nurzał wraz z głową w sadzach, obraz bowiem straciłby na wyrazistości, nabierając wzamian groteskowych cech, chińskich sylwetek i cieni.

Otoczenie podobnie malowane musiało bardziej jeszcze upadlająco wpłynąć na księcia Leona. Znieczulony umysłowo i moralnie, budzi się wtedy dopiero, gdy matka, wezwawszy go do Paryża, uprzedza, iż ułożyła już związek między nim, a starą i garbatą księżniczką Caraman-Capet. Wieść o zaręczynach tych, bez jego wiedzy dopełnionych, jak iskra elektryczna wstrząsnęła Leonem. Oświadcza on matce, iż spełnił jej wolę, zrywając z Gabrynią Grzymalanką, lecz wzamian żąda uszanowania swej wolności, wywołuje straszną burzę, zrywa owo małżeństwo i po odbyciu pojedynku z bratem garbatej Capetówny, wraca do Holszy, by tu, wśród dotkliwego ostracyzmu arystokratycznego świata, w cięższy jeszcze zapaść letarg.

Wobec tej śmierci towarzysko-moralnej, roznamiętnia go tylko prześladowanie Sumoroków, którzy ośmielali się przez parę wieków proces z książętami na Holszy prowadzić. Zajechawszy do ubogiej, oddawna zasekwestrowanej ich chaty, każe wyrzucić z niej przy sobie ostatniego przedstawiciela rodu. Służba jednak odskakuje od starca, bo żebrak ten, tradowany zawzięcie przez magnata, to trup już tylko. Widok umarłego wstrząsa nareszcie księciem Leonem. Wtem przysuwa się syn nieszczęsnego i prosi o wydanie zpod sekwestru trumny (czy trumny podlegają sądowemu zajęciu?), którą starzec przygotował sobie oddawna. Książę podnosi oczy, by w synu tym poznać człowieka, który mu niegdyś honor i życie uratował. Za honor swój i życie Lew Holszański odpłacił mu wyrzuceniem z rodzinnego gniazda, nikczemnem prześladowaniem i zabiciem ojca. Tego zadużo, nawet na tak upodloną, bezduszną naturę, jaką p. Rodziewiczówna książętom swym daje.

Lew upada zemdlony i cios ten zapaleniem mózgu przypłaca.

Z ciężkiej zaś niemocy innym wstaje człowiekiem; przez czas jej bowiem, objęła nad nim opiekę siostra, jedyny jasny promień wśród tego czarnego otoczenia, i brat owej, ukochanej niegdyś Gabryni, Grzymała, typ wszelkich, niepokonanych doskonałości, w jednej połączonych osobie.

Grzymała też, owa utożsamiona dobroć, siła i prawość, stworzona znów potrosze na wzór Marka Czertwana i innych Wyrwidębów, budzi księcia do życia, przywracając mu zdolność myślenia i kochania.

Książę Leon zamienia się w dzielnego obywatela i opatrzność okolicy, a przezwyciężając wkońcu resztę arystokratycznych uprzedzeń, wobec obelgi, jaką za niego niesłusznie Gabryni rzucono, prosi o jej rękę i jako księżnę do starej siedziby Holszańskich wprowadza.

Powieść, zaczęta jedną tylko barwą, karykaturująca z przesadą stosunki, których autorka zdaje się dobrze nie znać, rozwija się później coraz lepiej. Jeżeli też p. Rodziew. odmówiła z początku arystokracyi tego, co jej krańcowy nawet demagog przyznać musi, to jest dobrych form towarzyskich i uroku we wzajemnem obcowaniu, jeżeli nadała im, w najbliższej rodzinie, takie służalcze tytułowanie się, jak:

— Czy odesłano już moją ofiarę na chińskie sieroty?

— Odesłano, księżno matko.

Otóż stronność tę nagrodziła stokrotnie, prześlicznym obrazkiem Izy, siostry Leona, która pomnąc, iż matka po wysłaniu pieniędzy na chińskie dzieci i zanzibarskich murzynów, odtrącała ze wstrętem prośbę miejscowego biedaka, z ciasnej tej atmosfery, przez reakcyą, najbardziej humanitarne wyniosła zasady. Nagrodziła to wreszcie autorka, malując starannie moralne przebudzenie się księcia Leona. Należy jej się wdzięczność jeszcze i za to, iż w przebudzeniu tem, pierwsze miejsce zajęła nie miłość do Gabryni, lecz uczucia obywatelskie. P. R. umie z trzeźwością postępowego umysłu wyłamać się zpod szablonu powieści, osnutej na motywach miłosnych głównie. Jeszcze Carlyle oburzał się na przewagę, jaką romansopisarze nadają uczuciu temu, w opowiadaniach, które zamiast wiernie odtwarzać życie, fałszują je tylko. Zarzucał, iż piszący czynią zeń treść istnienia, podczas gdy erotyzm objawia się przez kilka lat młodzieńczych, i to nie stanowiąc ich celu, a dodatkowy urok tylko. *)

Autorka „Błękitnych" pojęła to, w odrodzeniu też „nieobecnych" naczelne miejsce wyznaczyła nie indywidualnym zapałom, lecz uczuciom bardziej ludzkiem, co — jak sądzę — na szczery poklask zasługuje.

Jako powieść oryginalna, mniej już na zużyciu poprzednich pomysłów oparta (odrodzenie zepsutego mężczyzny i ów doskonały Grzymała do lżejszych należą reminiscencyj).—„Błękitni" stoją bez zaprzeczenia wyżej od „Szarego prochu," lub bardzo nieudanej „Onej." Gdyby autorka była jeszcze pierwszą część dostroiła do drugiej, ujmując jej barw karykaturalnych, a dodając więcej spokoju i objektywizmu, praca ta mogłaby być doskonale przeciwstawiona ogólnemu mniemaniu, iż talent p. Rodziew. nie rozwija się, lecz obniża stopniowo i wyczerpuje. Stwierdza ona bowiem poniekąd, że z chwilą, gdy autorka znuży się pośpieszną produkcyą, gdy zacznie mniej gorączkowo pisać, a więcej obserwować własne społeczeństwo, umysł jej, dojrzalszy wówczas, może poważnemi zabłysnąć pracami.

Jeżeli dziś wymagania czytelników, w stosunku do p. Rodziewicz. są zbyt duże, niech szanowna autorka raczy uwzględnić, iż dowód to niezwykłego uznania tylko. Komu wiele dano, od tego wiele będzie wymaganem; pamiętni też, jak przed paru laty świetnemi witaliśmy ją fanfarami, pragniemy w pisarce, zdobywającej szturmem sławę i laury, widzieć w przyszłości nie talent tuzinkowy, lecz wybitną na horyzoncie literackim gwiazdę.

Anatol Krzyżanowski.

(*) Obacz studyum E. Caro, o Jerzym Sand'zie.

DUSZA PIOTRA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Zapytanie to zmieszało niewymownie Piotra. Nie miał chęci zwierzać się tym ludziom z zamiaru samobójstwa, który go przywiódł nad brzeg morza i z okoliczności, które wywołały w nim moralną zmianę. Wahanie jego upewniło marynarzy w przekonaniu, że gość ma pewne powody skłaniające go do unikania wyjaśnień. A że z powołania swego nauczyli się nie być ciekawymi, nie nalegali też więcej.

— Pańskie interesa pana tylko dotyczą — rzekł jeden z nich, gdy Piotr chciał już zmyślić jakąś bajkę; — nam nic do tego. Zamiast wypytywać, należy raczej opatrzeć ranę na czole. Dosyć już z niej krwi uszło, co przy ranach w głowie jest rzeczą niebardzo dobrą. Teraz obandażujemy głowę płótnem, a za dwa dni nie będzie już ani znaku. Może zejdziesz do kajuty z towarzyszami?

— Jeśli to dla was wszystko jedno, to wolę zostać na pokładzie... Świeże powietrze orzeźwi mnie trochę.

— Czyń pan, jak zechcesz.

W kilka chwil później, Piotr z głową obwiniętą bandażem, wsparty o poręcz pokładu, patrzył w morze uciekające zpod jego stóp. Wokoło, jak okiem zasięgnąć, nie widać żadnego statku. W dali, wśród mgły, połyskiwało czerwone światełko; świeży wietrzyk chłodził rozpaloną jego głowę. Tutaj, w nowem zupełnie otoczeniu, wpośród nieznajomych ludzi, czuł się oswobodzonym z przygniatającego go ciężaru. Zdawało mu się, że nie był już tą samą istotą i że Piotr Laurier, chory moralnie i zrozpaczony, spał teraz w głębi wód morskich, ujęty wiecznym snem śmierci. Westchnienie ulgi wyrwało się z jego piersi i półgłosem szepnął do siebie:

— Ja już umarłem wistocie!

— Czy pan sobie życzy czego? — spytał Prowansalczyk, który czuwał o kilka kroków od niego.

— Mój kochany towarzyszu — odparł Piotr z uśmiechem — jeśli przewozicie kontrabandą cygara, macie pewno przy sobie jakitaki zapas. Przyznaję się więc otwarcie, że chętnie wypaliłbym dobre cygaro.

— Służę panu natychmiast.

I pochylając się nad schodami, wymówił słów kilka, a za chwilę ukazał się z paczką w ręku, którą podał Piotrowi.

— Przysyła ci je sam właściciel — rzekł — i zarazem kazał ci oświadczyć, że Agostino ma się coraz lepiej. Biedny chłopiec! Gdyby się był utopił, niemało łez popłynęłoby za nim w Torrevecchio...

— Gdzież to jest Torrevecchio?

— Na wyspie Korsyce — odparł marynarz, i roznieciwszy krzesiwem ogień, podał go malarzowi.

Piotr wybrał długie, ciemne cygaro, zapalił je starannie i zaczął z rozkoszą otaczać się wonnemi obłoczkami sinawego dymu.

— Powiedz mi, dokąd teraz płyniemy? — zapytał.

Marynarz wstrząsnął głową.

— Właściciel jedynie wie o tem... Teraz płyniemy w kierunku Elby... ale czy udamy się do Porty-Ferraïo, czy gdzieindziej, o tem dowiemy się dopiero, skoro dopłyniemy. Dobranoc panu!

Piotr z uśmiechem kiwnął mu głową i zwolna zwrócił się do stosu żagli, na którym odzyskał przytomność; tu ułożył się wygodnie, otulił opończą marynarza i wciągnął kaptur na głowę. Wzrok jego skierował się ku niebu, na którem migotały miliony gwiazd, czuł się w tej chwili tak swobodnym i szczęśliwym, jak dawno nim nie był i pogrążył się w zadumie, która go wkrótce do snu ukołysała.

Skoro się obudził, słońce ogrzewało go, rzucając nań ukośne promienie, jak na jaszczurkę, wygrzewającą się w zagłębieniu muru. Z trudnością zdał sobie sprawę ze swego położenia, budząc się, nie widział nigdy przed sobą żagli ani masztów, to też niezwykły ten widok zdziwił go w pierwszej chwili; dopiero rozbudziwszy się dobrze, przypomniał sobie rzeczywistość.

Serce jego zadrgało gwałtownem wzruszeniem, skoro sobie powiedział, że dawne jego życie zupełnej uległo zmianie, że to, co czynił dawniej, nie było już dlań możebnem. Pomiędzy przeszłością a przyszłością rozciągała się przepaść, szersza i głębsza niż to błękitne morze, które dzieliło go w tej chwili od lądu. W głębi fal morskich spoczywał trup szaleńca, malarza Piotra Laurier, który zginął w śmiertelnym upadku.

— Tak, śmiertelnym! — powtórzył sobie z mocą, aby to przekonanie nie uległo żadnej wątpliwości.—Powiedział, że sobie życie odbierze, napisał to, przyjaciołom i kochance posłał te słowa pełne rozpaczy i nienawiści: „Pozbawiam się życia, które nie nauczyło mnie kochać.” Teraz wszyscy byli tą wiadomością zdziwieni lub zasmuceni. Byłoby więc śmiesznością ukazać się między nimi; wypadek umieścił go w niezwykłem otoczeniu, gdzie go nikt nie znał i nie wiedział nic o jego przeszłości. Trzeba więc zdać się na wolę losu.

Zresztą, wszakże sam pragnął spokoju, ciszy i ukojenia; spełniały się więc najgorętsze jego życzenia. Co za rozkosz wyswobodzić się zpod wpływu zabójczej namiętności i znaleźć się nagle wśród życia, odznaczającego się pierwotną prostotą i spokojem. Oddychać, zamiast odurzającą atmosferą buduaru, świeżem i czystem morskiem powietrzem, na statku, mknącym szybko po błękitnych falach. Zdawało mu się, że pierś jego się rozszerza, radosny dreszcz wstrząsnął całem jego ciałem. Podniósł się i widząc całą służbę okrętową zebraną na pokładzie, postąpił kilka kroków naprzeciw swych nowych przyjaciół.

— Czy dobrze pan spałeś? — zapytał Prowansalczyk.

— Doskonale, jak nigdy przedtem.

— Morze umie kołysać do snu!

— Gdzież jesteśmy obecnie? — spytał Piotr.

— Niedaleko Livorno... Ta biaława linia wzgórz, którą widzisz po lewej stronie, to Viareggio... Ale otóż i właściciel zbliża się tu z Agostinem, który chce panu podziękować...

W téj chwili jakiś nizkiego wzrostu mężczyzna objął w objęcia Piotra. Był to zaledwie dwudziestoletni młodzieniec, z czarnym, bujnym zarostem i oliwkową cerą twarzy. Oczy jego spoglądały poczciwie, usta serdeczny rozchylał uśmiech.

— Ocaliłeś mi życie! — zawołał z akcentem zdradzającym włoskie pochodzenie — możesz liczyć na mnie, życie moje do ciebie należy!...

— Dobrze, dobrze, mój towarzyszu — rzekł malarz, a usuwając się łagodnie z jego objęć i kładąc mu rękę na ramieniu, dodał:—Wistocie jesteś zamłodym na to, żebyś miał umierać... Ale uratowali cię twoi towarzysze; ja byłbym się z tobą razem utopił.

— To też tem zobowiązałeś mnie najbardziéj — przerwał mu gorąco Agostino.—Szedłeś na dno, a jednak nie puściłeś mnie... O! pojedziesz ze mną do moich stron rodzinnych, aby moja matka i siostra podziękowały ci za moje ocalenie... Ale jak się nazywasz?

— Piotr...

Teraz Agostino spojrzał uważnie na swego wybawcę.

— Nie jesteś ani rybakiem, ani marynarzem, ani rzemieślnikiem... ty jesteś panem...

— Mylisz się, jestem właśnie rzemieślnikiem... zajmuję się malarstwem...

— Być może, ale malarstwem pięknem i delikatnem. Może malujesz postacie mężczyzn i kobiet, wyglądających przez fałszywe okna willi?... Może szyldy do sklepów... albo madonny, znajdujące się na rogach ulic?...

— Tak jest—potwierdził Piotr.—Jeżeli w twoim kraju znajdę robotę, osiedlę się tam na czas jakiś.

— Korsykanie nie są bogaci — odezwał się właściciel statku. — Ale jeżelibyś chciał odświeżyć nieco postać świętego Wawrzyńca, która znajduje się na przedzie okrętu...

— Uczynię to z miłą chęcią, skoro tylko dopłyniemy do portu... Będzie to zapłata za koszt mojego przejazdu, chyba że uznasz, iż to będzie zamało...

— Przeciwnie, my to jesteśmy twoimi dłużnikami — przerwał mu kontrabandzista. — Co wymalujesz na statku przyjmiemy to z miłą chęcią, ale nie skwitujemy się pomimo tego.

— Niech i tak będzie!—wesoło zawołał Piotr. — Czy mogę się jednak dowiedzieć, dokąd płyniemy?

— Do Bastia.

— Wszystko mi jedno wreszcie dokąd, niech będzie i do Bastia — odparł malarz. — Abyśmy tylko nie wracali na ląd stały, zgadzam się na wszystko.

— Czy potrzebujesz odetchnąć powietrzem zdala od Francyi? — zapytał z ciekawością właściciel.

— Tak jest — potwierdził.

— Czyś popełnił co złego?

— O! i bardzo złego... zresztą miłosna to sprawa!

Kontrabandzista zrobił pogardliwą minę i Piotr zrozumiał, że zmalał w opinii tego człowieka. Ale chociaż go uważano tylko za półwinowajcę, czuł się już swobodniejszym pośród swych towarzyszy na statku.

— Jestem jak Salvator Rosa pomiędzy rozbójnikami — powiedział sobie w duchu. — Ale czy obcowanie z otaczającymi mnie ludźmi jest zgubniejszem od wpływu istot, którym codzień ściskałem rękę? Zdaje mi się, że tu zachodzi tylko różnica w sposobie wyrażania się i ubraniu. Ci ludzie łatwiej jeszcze podlegają uczuciom wspaniałomyślności i wdzięczności, niż dawniejsi moi przyjaciele. Prawda że to wszystko urwisy, niektórzy z nich zasłużyli na więzienie, a nawet na galery, ale jednak nie są to do gruntu zepsuci ludzie jak ci, z którymi spotykałem się dawniej.

Ta gorzka filozofia dodała mu otuchy; spokojniej, z zadowoleniem nawet zaczął przypatrywać się na swoje nowe położenie. Nie chciał już umierać i nie miał żadnego powodu przeklinać życia, które nastręczało mu nowe zupełnie wrażenia, podniecające czynną jego wyobraźnię. Wrażliwy i łatwo unoszący się zapałem, jak każdy artysta, tworzył teraz nowe projekta, które zacierały w nim dawniejsze uczucia. Znalazłszy się w zupełnie odrębnem otoczeniu, nie był tem wcale zmartwiony, owszem, doznawał ulgi i zadowolenia. Zdawało mu się, że się wydostał z więzienia, w którem długi czas przepędził.

Wzrok jego zachwycał się tysiącem szczegółów, na które wczoraj najmniejszej nie zwracał uwagi. Zielonawa barwa fal morskich, pokrytych srebrzystą pianą, wydawała mu się czarującą. Z zajęciem śledził grę światła na sklepieniu nieba, które, szafirowe na zenicie, przybierało barwy szarawe na widnokręgu. Lekkie maszty statku, liny i czerwone żagle, rysujące się wyraźnie na jasnem tle nieba, postać marynarza siedzącego na przedzie, wszystko to tworzyło nader ożywiony obrazek, który pochłaniał całą jego uwagę, sprawiając mu przytem nadzwyczajną rozkosz.

Zaledwie uwolniony zpod wpływu złej kobiety, oddał się cały sztuce, a wspomnienie Klemencyi ukazywało mu się we mgle oddalenia. Silne moralne wstrząśnienie zatarło w jego sercu niezdrową miłość, tak jak burza otrząsa z drzewa zgniły owoc.

Piotr, paląc cygaro, błądził wzrokiem po niezmierzonej przestrzeni morza, którego widok ożywiały przepływające rybackie łodzie i parowe statki, zostawiające za sobą długą smugę dymu. Statki płynęły do Civita-Vecchia, lub do Neapolu. Przyjazny wiatr dopomagał żegludze i we mgle oddalenia ukazywały się już sinawe szczyty wysokich gór, oświetlonych złotemi promieniami słońca.

— Jaką ziemię mamy przed sobą? — zapytał Piotr Agostina.

— To wyspa Korsyka — odpowiedział szorstkim swym głosem marynarz.— Góry, jakie pan widzisz ciągną się od wierzchołka Centuri aż do Bonifacio. Ta mała wysepka na lewo, to Giraglia... Dziś wieczorem przepłyniemy pomiędzy nią a przylądkiem Korsyki, aby dostać się do Bastia... Gdyby nie mgła, podnosząca się z morza, dostrzegłbyś pan śnieg na wierzchołku góry Cinto... Przekonasz się pan, że Korsyka jest pięknym krajem. U nas niema tak jak we Francyi monopolu tabacznego i każdy może śmiało handlować... Zresztą niebardzo się zwraca uwagę na to co zakazane. Ale otóż podają śniadanie... musisz pan być głodny, nieprawdaż?

— O! bardzo! — potwierdził Piotr z uśmiechem.

— A więc chodź pan zemną.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wieści z Londynu.

Donoszą nam z tej najludniejszej stolicy Europy, że dążność kobiet do poważniejszego wykształcenia objawia się tam coraz wyraźniej. Niedawno w uniwersytecie w Cambridge przyznano młodej miss, Filipie Fawcett, najpierwszy stopień akademicki w matematyce. Jest-to fakt dotąd niebywały. Mis

Fawcett jest córką znakomitego męża stanu, matka jej niemniej zdolna, znana jest jako wspólniczka prac mężowskich; oprócz tego wydała bardzo popularne dzieło o ekonomii politycznej, czyli gospodarstwie narodowem.

Miss Fawcett ma zaledwie lat dwadzieścia, bardzo więc wcześnie uzyskała tak wysoki stopień naukowy, pomimo to zdrowie jej nie ucierpiało bynajmniej, bo nigdy po nocach nie pracowała.

Dowód jeszcze większej wytrwałości i poświęcenia dają kobiety, porzucające kraj i rodzinę, aby gdzieś daleko, na wyspach Sandwich, oddać się na usługi nieszczęśliwych ludzi, dotkniętych straszną chorobą trądu. A jednak wiele jest takich, które z zupełnem zaparciem się siebie wypełniają obowiązki trudnego posłannictwa do pewnego nawet stopnia wstrętnego.

Obecnie mieszkańców Londynu zajmuje niezmiernie wystawa francuzka, składająca się z resztek zeszłorocznej wystawy paryzkiej. Najwięcej budzą ciekawości przedstawienia Arabów, których piękne rysy twarzy i malownicze stroje zachwycają wszystkich.

Największym jednak bohaterem był Stanley, którego przyjmowano z zapałem należnym jego odwadze i wytrwałości. Kto pięćset dni przepędził w wielkiej puszczy Kongo, czyli w lesie nieprzebytym, gdzie drzewa mają po dwa tysiące lat, ten zasługuje na podziw i uznanie, tembardziej, jeśli przysłużył się światu naukowemi badaniami, posiadającemi niesłychaną wartość. Podług opowiadania Stanley'a, w puszczy Kongo niewiele spotyka się zwierząt, a plemię afrykańskie, zamieszkujące tę pustynię, jest drobne, małe, prawie karłowate. Zato roślinność przedstawia się nadzwyczaj bogato, a szczególniej znajduje się tu mnóstwo drzew wydających różnorodne gummy i roślin dostarczających najrozmaitszych farb. Stanley obliczył, że same drzewa kauczukowe opłaciłyby w jednym roku koszt wybudowania kolei żelaznej, wzdłuż porohów Konga. Najpiękniejszym jednak jego czynem jest wyswobodzenie 400 niewolników. Z okazyi ślubu Stanley'a z miss Dorotą Tennant, znaną w świecie artystycznym z niepospolitego talentu malarskiego, postanowiono na meetingu w Mansion-house, zebrać fundusz na kupno parowego statku, który otrzyma imię żony słynnego podróżnika i przeznaczony będzie do krążenia po największem z jezior afrykańskich, Wiktorya Nyanza.

Wystawa afrykańska ściąga tłumy publiczności. Zawiera ona przeważnie broń, czasami bardzo ładnie wyrobioną; osobliwość stanowią koszyki, tak ciasno plecione z trawy lub palmowych włókien, że zupełnie nie przepuszczają wody. Są tu także wizerunki wszystkich sławnych podróżników, którzy otworzyli nieznany jeszcze przed niewielu laty kraj, mianowicie sir Samuela Baker i jego żony, d-ra Liwingstone'a i innych. Zwraca uwagę także dawna, bo z XVI-go wieku pochodząca mapa, która przedstawia dokładnie wnętrze Afryki. Najbardziej zajmującym jednak jest widok dwóch chłopczyków z pokolenia Kafrów, przywiezionych przez Tompsone'a. Okrutny władzca dzikiej krainy Swazilandu kazał wymordować całą ich rodzinę, wypadkiem tylko malcy ocaleli, dostawszy się pod opiekę Europejczyków.

Jeden dział wystawy zawiera wszystkie przedmioty odnoszące się do handlu niewolnikami, a więc jarzma, kajdany i rysunki przedstawiające wioski murzyńskie, w chwili napadu zbrojnych ludzi, którzy jednych zabijają, a drugich uprowadzają w niewolę. Strach pomyśleć, że takie barbarzyństwa dzieją się jeszcze na świecie.

Zpomiędzy nowych książek odznacza się dzieło sir Karola Dilke, w którem autor zastanawia się nad obecnem położeniem i przyszłością kolonii angielskich. Wyszły również „Przygody młodego syna" przez Trelawny'a, bardzo zajmująco opowiedziane, i naukowe pogadanki sir Johna Lubbock'a o pszczołach i mrówkach.

WIADOMOŚCI
Z ROŻNYCH STRON

* Dobroczynny wynalazek. Nasz wiek, w którym obmyślono już tyle środków eksterminacyjnych, z przyjemnością zapewne powita nowy wynalazek, dzięki któremu wojny byłyby na przyszłość dziecinną igraszką. Pewien Wiedeńczyk, doktor Juenemann, sporządził broń, która za pociągnięciem cyngla, zamiast prochu i naboju, wypuszcza gaz usypiający. Całe pułki w ten sposób wpadłyby nagle w kilkogodzinny, twardy sen. Łatwo byłoby uśpione wojsko rozbroić, spętać i naładować na wozy. Naród, któryby zastosował wynalazek pana Juenemana, stałby się w krótkim czasie panem całego świata, drwiąc z bezdymnego prochu, dalekonośnych nabojów i t. d. Ale cóż się stanie, jeśli środek ten wejdzie w powszechne, nie zaś jednostronne użycie? Mimowoli przychodzi na myśl bajka o uśpionym przez sto lat królewiczu. Dobroczynny wynalazek pana Juenemanna zaleca się jeszcze tem, iż nie przynosi szkody organizmowi. Doktor przedstawił gó rządowi austryackiemu, ale nadaremnie.

Wiadomo, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju.

* Jedna z gazet wiedeńskich donosi, że genialny wynalazca Edison umie być także marzycielem. Prawda, że marzenia jego mają cechę naukową, niemniej pozbawione są fantazyi. Pewnego razu Edison odezwał się do swego gościa: „Jakaby to była rzecz cudowna, gdyby człowiek mógł dowolnie rozrządzać atomami, z których się składa jego ciało, by mógł je według swojej fantazyi rozpraszać i łączyć. Ja rozesłałbym swoje atomy z poleceniem, aby żyły życiem róży, lub innej jakiej rośliny, metalu lub substancyi. Potem przycisnąłbym sygnał elektryczny, zwołałbym atomy i cieszyłbym się wrażeniami przez nie zebranemi. Oprócz tego odnosiłbym korzyść z ich wiedzy."

Edison wierzy w inteligencyą atomów, dowodząc, że materya nie jest martwą i że poruszenia jej nie są jedynie następstwem wpływów, wywołanych przez siły zewnętrzne. Twierdzi on również, że sposoby jakiemi atomy, składające wodę, łączą się z innemi ciałami prostemi, dowodzą także inteligencyi. „Atomy, ugrupowane podług prawa odpowiadającego ich naturze, dowodzi Edison, przybierają wdzięczne formy i wydają woń przyjemną, jak gdyby chciały wyrazić przez to swoje zadowolenie. Natomiast przy śmierci, chorobie lub rozkładzie," atomy przez nieprzyjemne wonie wyrażają swe cierpienia."

Stosownie do ugrupowania, atomy tworzą istoty od najniższych zwierząt do człowieka, który przedstawia zbiorową inteligencyą wszystkich atomów; zapytany, jakie jest pierwotne źródło tej inteligencyi atomów odpowiedział: „Źródłem jej jest siła wyższa, Stwórca, Bóg, odosobniony od całego stworzenia, a którego istnienie dowiedzione jest stanowczo przez chemią."

* Jeden z tutejszych lekarzy, a mianowicie doktor Kadler, począł stosować w swej praktyce głośną metodę znakomitego Brown Sequarda. Jest-to wstrzykiwanie pewnej emulsyi odżywiającej wyniszczone organizmy. Doktor Kadler kilku pacyentów, na których stosuje nową metodę, ma zamiar przedstawić szerszemu gronu lekarzy.

O ile płyn ten przeciw starości jest skuteczny w działaniu, o tem wyrokować nie można, aż po przeprowadzeniu odpowiednich doświadczeń.

* W Berlinie obradował w tych czasach wiec kobiet ze sfer socyalistycznych. Przewodniczyła p. Gubela. Głównym przedmiotem porządku dziennego było usprawiedliwianie się przewodniczącej z bardzo drażliwych zarzutów, maczania paluszków w pieniądzach „ogółu."

Pani G., która jest przewodniczącą ogólnego stowarzyszenia robotnic, z oburzeniem odpierała niegodne zarzuty, a na dowód, jakiemi środkami z nią walczy zazdrość i niechęć, pokazywała zebraniu stryczek, który jej przedtem nadesłano pocztą z napisem: „dla p. Gubela do powieszenia" (ogromna wesołość i oburzenie). Z innych mówczyń odznaczyła się p. Wabnitz, ubolewająca srodze nad zarzutami, czynionemi p. Gubeli, ale zarazem przestrzegająca ją, ażeby się nie uważała za niezbędną. Tylu innych przywódców się zdarzło, to i na nią przyjść może kolej!

Co się tyczy stryczka, to wcale nie jest wykluczoną możebność, że go p. Gubela sama sobie nadesłała pocztą.

P. Schnerrer zaś przeczyła, iżby członkowie ogólnego stowarzyszenia robotnic byli pod pantoflem p. Gubeli.

W tym tonie odbywało się zebranie późno w noc.

* Zamach na taniec w Anglii. Pewne damskie towarzystwo dobroczynności w m. Chester, postanowiło z programu zabaw szkolnych wykreślić tańce, które jakoby miały wywierać zły wpływ na młode dziewczęta, a w miejsce nich zająć je wyrabianiem koszyków.

Postanowienie to miał ostatecznie rozstrzygnąć miejscowy biskup, który oświadczył, że chociaż plecenie koszyków jest bardzo pożytecznem przepędzeniem czasu, lecz jeżeli londyńskie towarzystwo pierwej nie zastąpi tańców tą robótką, on nie może pozwolić na wprowadzenie tej innowacyi wśród biednej klasy swej dyecezyi, ani się zgodzić, aby tańce w jednej klasie społeczeństwa były dozwolone, wtedy kiedy w innej zabronione, tembardziej, że taniec dla dzieci jest bardzo zdrowy i niewinny.

LOGOGRYF.

Wyrazów 14. Litery początkowe składają imię i nazwisko wielkiego poety, końcowe zaś tytuł jednego z jego poematów.

Sylaby: ran chał-ma-wa-i-ar-el-bier-a-gan-lid-eu-czół-cud-ler-no-cyk-jor-non-pe-za-du-go-man-da-na-ka-in zra-im-wa-tyn-wa-chód-len.

Znaczenie wyrazów:

1. Miasto i twierdza w Gruzyi (Georgii).
2. Jeden ze środkowych stanów Meksyku.
3. Miasto w Armenii nad rzeką Kurem.
4. Wojskowa ranga.
5. Rodzaj rośliny.
6. Żołnierz niezdolny do służby.
7. Miasteczko w gubernii wołyńskiej nad rzeką Teterowcem.
8. Napój arabski,
9. Imię patryarchy i narodu.
10. Jedna z dziewięciu muz.
11. Imię jednego z cesarzów bizantyńskich (491 — 518 r.).
12. Roślina korzenna indyjska.
13. Najmniejszy statek wodny.
14. Jedna ze stron, w której słońce kryje się pod poziom.

Aleksander Feliks Dombrowski.

ROZWIĄZANIE LOGOGRYFU
zamieszczonego w numerze 38-m „Tygodnika Mód."

1. Mokofizyci. 2. Orangutang. 3. Nankin. 4. Aspazya. 5. Czerwiec. 6. Hebrydy. 7. Obelisk. 8. Marmur. 9. Achaja. 10. Celebes. 11. Haki 12. Indygowiec. 13. Jablecznik. 14. Aguti.

Monachomachija—Ignacy Krasicki.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Dobre rozwiązania logogryfu nadesłały: Walentyna Marya Kulczyńska z Tomaszowa lubelskiego, Bronisława Żychowska z Grajewa.

☞ Do dzisiejszego N-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

POLSKI SKŁAD NICI
i Warszawska Fabryka Pończoch i Trykotaży
tylko na ulicy hr. BERGA Nr 11, w Warszawie. 41—1—12

Posiada znaczny zapas Pończoch w najświeższych kolorach i deseniach, Skarpetek, Kamaszy mezkich, damskich i dziecinnych, Kamizelek, Chustek, Halek i Koszulek tak ciepłych jak i siatkowych. Wszystko obok najlepszych gatunków, odznacza się cenami najprzystępniejszemi, ***Koszulki Wioślarskie*** i dla ***panów Cyklistów.***

WIELKI WYBÓR PRZEDMIOTÓW DO MALOWANIA
SZKATUŁKI DO PRZYBORÓW RYSUNKOWYCH.
FARBY OLEJNE, AKWARELLOWE, GUASZOWE I METALICZNE
POLECA
T. POPŁAWSKI,
dawniej ***BŁASZKOWSKI.***
Krakowskie-Przedmieście Nr 24. 186—1—2

KOTŁY
do bielizny ulepszone, premiowane na Wystawie Paryzkiej.
UMYWALNIE
w wielkim wyborze najtaniej w specyalnym składzie naczyń kuchennych
Adama Kempińskiego,
SENATORSKA Nr 22
róg Bielańskiej. 188—1—6

NOWO-OTWORZONA PRACOWNIA SUKIEN
I OKRYĆ DAMSKICH
POD FIRMĄ
„ELEGANCYA"
Marszałkowska Nr 133, wejście od ***S-to Krzyzkiej Nr 39.***
Wykonywa podług paryzkich modeli wszelkie obstalunki najśpieszniej i po cenach umiarkowanych. 40—1—3

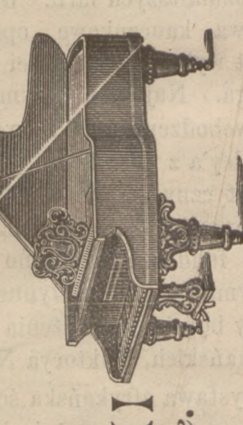
Agencya Handlowa Dąbrowskich kopalń węgli Towarzystwa Francuzko-Włoskiego, sprzedaje węgle hurtownie po cenach kopalnianych i detalicznie z odstawą do mieszkań; ekspedycya wyłącznie na wagę. 42—1—8
Reprezentant ***St. Niedzwiedzki.***
43. Nowy-Świat 43.

SZKOŁA HALINY z LESZCZYŃSKICH TOKARZEWSKIEJ nagrodzona srebrnym medalem, **SZKOLNA 8,** przyjmuje pensyonarki, uczy kroju francuzką metodą Worth'a i Laferièrre, szycia, modniarstwa, haftów, krawatów, introligatorstwa, robót włóczkowych, tkactwa, rysunków malowania gobelinów, malowania na porcelanie, szkle, miniatur na kości słoniowej i heliominiatur, wypalania na drzewie retuszeryi barbotiny, terracotty, kolorowania fotografii. Lekcyi sztuki stosowanej udzielają artyści rzeźbiarze i malarze. Uzdolnione uczennice otrzymują roboty. 46—1—3

WIELKI WYBÓR WYCIERACZEK DO NÓG
z włókien Kokosowych, Manilowych i innych, oraz
CHODNIKÓW KOKOSOWYCH
różnej szerokości, do pokrycia korytarzy, schodów, kantorów i t. p. użytku, w gatunkach tylko wyborowych,
HANDLUJĄCYM RABAT
PRZY SKŁADZIE SZCZOTEK I PENDZLI
ALEKSANDRA FEJSTA
w Warszawie, przy ulicy Senatorskiej. 45—1—4

---

40. Krakowskie-Przedmieście 40.
GEBETHNER I WOLFF
NAJWIĘKSZY W KRAJU
Skład Fortepianów i Pianin.
Filia w Łodzi, ulica Piotrkowska Nr 18.



Reprezentacya firmy **BLÜTHNER** ***w Lipsku.***
Reprezentacya firmy **MAŁECKI** ***w Warszawie.***
SPRZEDAŻ NA RATY. 150—3—8

Francuzka Szkoła Kroju, Szycia, Artystycznych i Praktycznych Rzemiosł dla kobiet.
MAZOWIECKA Nr 11, mieszkania Nr 10.
AUX QUATRE SAISONS
Pracownia Sukien, Okryć i Ubranek Dziecinnych, wykonywa wszelkie roboty podług Paryzkich Żurnali, z własnych i powierzonych materyałów.
Przy pracowni Szkoła Kroju i Szycia.
MAZOWIECKA Nr 11, mieszkania Nr 10. 168—1—4

MAGAZYN EGZYSTUJE OD 1886 ROKU.
GŁÓWNY SKŁAD
JAROSŁAWSKIEGO PŁÓTNA
POD FIRMĄ
MOSKIEWSKI MAGAZYN,
Bielańska Nr 7, Hotel Krakowski.
Otrzymuje codziennie świeże transporty ***Jarosławskiego Płótna*** na koszule i prześcieradła różnej szerokości.
Obrusy, Serwetki białe i kolorowe. ***Garnitury*** na 6, 12, 18 i 24 osób. ***Ręczniki*** płócienne, kąpielowe i kuchenne. ***Chustki do nosa*** płócienne, batystowe i jedwabne.
Madapolam, Szyrtyngi, Kreas. Kanifas, Demikoton, Pika, Wiktorya i Nansuk na negliże damskie.
Drelichy na materace i rolety, różnej szerokości ***Dreliszek.***
Pledy bardzo wygodne na kostyumy mezkie, **Chustki bajowe**. **Kołdry sławuckie** i pluszowe w wielkim wyborze, **Kołdry watowe**, wełniane, atłasowe i pikowe. **Pończochy i Skarpetki** wełniane, bawełniane, fil d'écosse, fil de porse i jedwabne w wielkim wyborze. **Kaftaniki i Kalesony** trykotowe, bawełniane, fil d'écosse i czysto wełniane systemu D-ra Jegera. **Firanki**, pasowane i na arszyny, białe i kremowe.
Męzka i damska gotowa bielizna z madapolamu i jarosławskiego płótna oraz przyjmują się zamówienia na wszelkiego rodzaju bieliznę.
CENY FABRYCZNE.
Firma ma zaszczyt zawiadomić Szanowną Publiczność i stałych odbiorców, że z dniem 1 (13) Lipca b. r., nie ma żadnych filii w Warszawie i z wszelkiemi zapotrzebowaniami uprasza udawać się do Magazynu **przy ulicy Bielańskiej Nr 7** i ręczy za dobroć towarów kupionych tylko w tymże Magazynie. Ciesząc się dotychczas zaufaniem Szanownej Publiczności, Magazyn ma honor polecić się i nadal łaskawym jej względom.
170—3—6 Moskiewski Magazyn, Bielańska Nr 7.
CENNIKI NA ŻĄDANIE FRANCO I GRATIS.

KAPELUSZE FILCOWE
dla dam w rozmaitych gatunkach i kolorach, ostatniej mody paryzkiej, wiedeńskiej i angielskiej, po bardzo nizkich cenach, 192—2—5
poleca
Marceli Wilden,
Wiedeńska Fabryka Kapeluszy
w WARSZAWIE,
Marszałkowska Nr 141
lub Zielna Nr 36 oraz Czysta Nr 6.

Lekcye rysunku i malowania z gipsów i z natury, oraz malowania na porcelanie, szkle, glinie, drzewie, atłasie i aksamicie udzielam. ***Karolina Szmurło,*** Widok Nr 14, miesz. Nr 15. Zastać można pomiędzy 2-gą a 4-tą. 175—2—6

Szkoła Artystyczno-Malarska dla Pań z oddziałem sztuki stosowanej, **LUDWIKA WIESIOŁOWSKIEGO** art. mal. Krakowskie-Przedmieście Nr 64, Gmach Resursy Obywatelskiej. 190—2—6

Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Сентября 1890 г. **Redaktor i Wydawca Emil Skiwski.**

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 26. **Dodatek.**

Opis do N-ru 41.

(*Dalszy ciąg*).

N. 2 i 14. Suknia z vêtement. Krój N. IX.

Przy czarnej jedwabnej spódnicy dane vêtement z wełny popielatej w drobne paseczki, złożone ze stanika okrągławo podciętego u dołu, zapiętego z tyłu na haftki i dopełnionego spódnicą, przyszytą szwem odwracanym, wymierzoną podług *a* na fig. 35. W materyale zwierzchnim stanika niema zaszewek na przodzie, ale w górze dane przecięcia, stanowiące trzy zęby po 20 c. głębokie, z których środkowy w górze 10 c., dwa boczne po 6 c. szerokie. Zęby podłożone czarną materyą sznurowane są czarnym jedwabnym sznureczkiem, zakładanym za małe czarne guziczki. Jak to widać na r. 2 materyał w paski układany jest na staniku w różnych kierunkach. Przedni bryt sukni jest w górze podług fig. 35 na 43 c. przyszyty gładko do brzegu stanika od środka przodu do środka pleców; w jednym ciągu krajany bryt tylny, zmarszczony w ścisłe fałdki, zachodzi pod spód w ten sposób, że przód złożony gwiazdką do gwiazdki, zupełnie zasłania fałdy zakończone u góry rozetą podług fig. 35a. Odpowiednio do stanika z boków sukni dane są przecięcia, oznaczone podwójną linijką na fig. 35, również ozdobione guziczkami i zasznurowane. Oryginalnie zfałdowane rękawy z czarnej materyi przedstawione na r. 14, dopasować trzeba podług wymiaru na fig. 35 (patrz *b*) wysoko namarszczone ramiona fastrygują się do gładkiej podszewki a złożenie fałdów idących wzdłuż do zgięcia ręki oznaczają krzyżyki i kropki.

N. 3. Ubranie wieczorowe.

Model z materyi surah łososiowego koloru i z takiejże jedwabnej krepy, może być również odrobiony z innego materyału, np. fularu. Spódnica krajana z małym trenem jest lekko naddana z przodu, zaś tylny bryt zebrany w ścisłe fałdy. Stanik zachodzący pod spódnicę, ma podszewkę zapiętą z przodu na haftki, wierzch zaś marszczony, od prawej połowy przodu przechodzi przez lewą nakształt szerokiego paska, złożony w skośne poprzeczne fałdy i zapina się z boku na haftki. Wykrój stanika garnirują dwie krepowe falbanki, zakończające również rękawy. Suknia ozdobiona u dołu festonami z krepy, podpinanemi kokardami z czarnej aksamitki, zdobiącemi również stanik; pasek aksamitny zapięty z tyłu rozetą.

N. 4-8. Ubranie ślubne z trenem. Krój i lewa strona trenu N. X.

Krótka spódnica podszewkowa pokryta jest materyą surah, fig. 45 daje wymiar tego upięcia, jak to widać na biodrach kraje się dłużej i zbiera w kilka fałd, przez co przód drapuje się lekko; z tyłu dane ścisłe zmarszczki. Stanik ścięty z przodu bawetowo, z tyłu krajany w jednym ciągu z trenem dopasowywa się podług fig. 38—44; fig. 38 daje przód z podszewki, linia cienka odznacza formę plastronu, oszytego koronką 7 c. szeroką, z jednej strony przyszytego, z drugiej przypinanego do stanika. Materyał zwierzchni fig. 39 łączy się z podszewką szwem bocznym od A do B, przy brzegu przednim wzdłuż linii kropkowanej zakłada pod spód i następnie wzdłuż przemarszcza kilkakrotnie aż do linii cienkiej, w odstępach $^1/_2$ c. w ten sposób, aby przymarszczony wierzch pasował zupełnie równo z podszewką na ramionach i w pasie, a szerokim nagłówkiem zachodził na plastron. Dolny brzeg wierzchu na czubku baweta złożony gwiazdką do gwiazdki przyczepia się do podszewki, złożony w ścisłe fałdy podług znaczków i podług r. 4. Od pleców i tylnych boczków (fig. 41—42) krają się bryty trenu (patrz fig. 41a—42a), które można dać odcinane a stanik z tyłu ściąć bawetowo. Cały tren trzeba podszyć flanelką i podszewkować materyą; dla utrzymania fałdów podszywa się wstążki podług fig. 46. Boczne brzegi trenu przypinają się do sukni krytemi guzikami jak długo tren leży na podłodze trzeba podgarnirować go balaeuse'ą z sutej riuszy koronkowej. [redacted] uszyte prawdziwą koronką [redacted] sposób wskazany na r. 7—8.

[redacted] z siatki złoconej na doniczkę.

[redacted] się ze sznureczka, którego [redacted] r. 9, zaczęcie na 19 oczek [redacted] sznureczka 20 c. szerokiego, [redacted] Dalej na wałeczku $^1/_2$ c. [redacted] prosto ośm rzędów w dzie- [redacted] się dwa oczka i na 21 o. ob- [redacted] Wielkość ta odpowiednia na [redacted] 36 c., w górze 45 c. szeroką [redacted] Skończoną siatkę nawlóczy [redacted] przyciągając ostatni rząd oczek



N. 1. Suknia z kaftanikiem, bluzką i paskiem gorsecikowym Krój N. XI.

N. 2. Suknia z vêtement. Rękaw patrz ryc. 14. Krój N. IX.



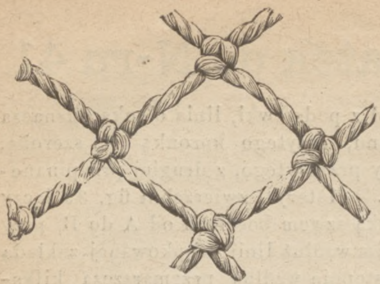
N. 5—6. Plecy do ryc. 4. Patrz ryc. 7—8.



N. 3 Ubranie wieczorowe.



N. 4. Ubranie ślubne. Patrz ryc. 5—8. Krój N. X.



N. 9. Siatka do ryc. 12.



N. 10. Robota grelotki do ryc. 12.



N. 11. Grelotka do ryc. 12 (1/3 wielkości naturalnej).

na sznureczek, zwilża się wodą i czeka dopóki siatka na doniczce nie wyschnie całkowicie, przez co nabierze potrzebnej formy, poczem zdejmuje się z doniczki, pociąga szellakiem, a gdy takowy zupełnie wyschnie, złocić. Na dwa oczka poniżej brzegu przewleczone, są dwa ponsowe jedwabne sznury zakończone grelotkami; ryc. 11 przedstawia jedną taką grelotkę zmiejszoną o trzecią część, a r. 10 uczy wykonania. Z dość grubego sznureczka wiąże się pentelkę około 3 c. długą, koniec jeden powinien trochę wystawać i służy następnie do zawieszenia, drugim końcem owija się wokoło grelotkę 5—6 razy, podług r. 10, z początku bardzo ściśle, w górze luźniej, podług kierunku lini czarnej. Na zakończenie trzeba sznurek przewlec pod dwoma rzędami podług strzałki i uciąć sznurek. Pod gotową siatkę daje się podwleczenie kolorowe z materyi lub satynki, zakończony u góry sutą riuszą układaną w potrójne kontrafałdy.

N. 13. Koronka szydełkowa robiona poprzecznie.

Odrobiona z dość grubej bawełny, nadaje się do serwet, firanek i t. p. cienka służyć może do bielizny. Zacząwszy na 22 o. pow. robi się z powrotem 6 o. pow., 2 sł. przedzielone 2 o. pow. zajętemi w 19 o., 7 o. pow., 3 o. ść. w 11—13 o. początkowych, 7 o. pow., 2 sł. przedzielone dwoma o. pow. zajęte w piąte o. początkowe, 3 o. pow., 1 sł. w pierwsze o. początkowe. Odwrócić robotę * 6 o. pow., 2 sł. rozdzielone 2 o. pow. i 2 o. pow. takie zaczęcie pow-



N. 14. Rękaw do ryc. 2.



N. 15. Rękaw do ryc. 26 w N. 40.

tarza się w ciągu całej roboty, 3 o. pow., 1 o. ść. w czwarte z siedmiu o. pow., 9 o. pow., 1 o. ść. w 4 te z 7-u o. pow., 3 o. pow., 2 sł. przedzielone 2 o. pow., 3 o. pow., 1 sł. w trzecie z sześciu o. pow., odwrócić robotę, 6 o. pow., 2 sł. przedzielone 2 o. pow., 3 o. pow., 11 sł. w dziewiąte o. pow. 3 o. pow., 2 sł. przedzielone 2 o. pow, 3 o. pow., 1 sł., w trzecie z sześciu o. pow., odwrócić robotę 6 o. pow. 2 sł. przedzielone 2 o. pow., 5 o. pow., 7 sł. w 3—9 z 11 słupków, 5 o. pow., 2 sł. przedzielone 2 o. pow., 1 sł. w trzecie z sześciu o. pow., odwrócić robotę, 6 o. pow., 2 sł. przedzielone, 2 o. pow., 7 o. pow , 3 o. ść. w 3—5 z siedmiu sł., 7 o. pow., 2 s.ł przedzielone 2 o. pow., 3 o. pow., 1 sł. w 3-c z 6-u o. pow. odwrócić robotę, 9 o. pow. (jako kółko pod środkowy ząbek ze słupków) 1 sł. w ostatni sł , 3 o. pow.,

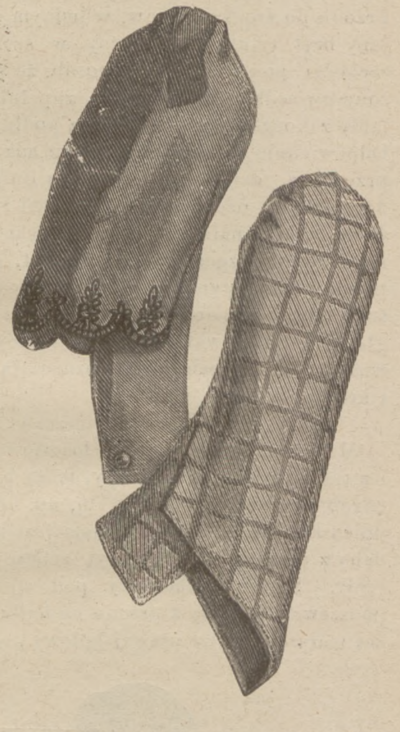


N. 12. Przykrycie na donicz- . Siatka złocona; patrz rycina 9—11.

sł. przedzielone, 2 o. ow., 3 o. pow., 1 o. ść. czwarte z siedmiu o. ow., 9 o. pow., 1 o. ść. czwarte z siedmiu o. ow., 3 o. pow., 2 sł. rzedzielone 2 o. pow., 3 . pow., 1 sł. w trzecie sześciu o. pow., odwrócić robotę 6 o. pow., 2 sł. przedzielone 2 o. ow., 3 o. pow., 11 sł. za o. pow., 3 o. pow., 2 ł., przedzielone 2 pow., 3 o. pow., 1 sł. w sł. na ząbki koronki, 9 sł. na środkowy ząbek zajęty za kółko z o. pow., 11 o. pow. na pierwszy zewnętrzny ząbek przyczepiony za 1 sł. zaczętego środkowego ząbka, 3 o. pow. zastępujące słupek, 18 sł., 1 półsł. i 1 o. ść. w ząbek z o. pow., 1 o. nizkie w ostatni sł. zaczętego ząbka, 9 sł. w dalszym ciągu, zaczepić u dołu poprzecznego sł. ażurowego brzegu, 11 o. pow. na drugi brzeżny ząbek przyczepionych w 9-ty sł. środkowego ząbka 1 o. ść. 1 półsł. i 3 sł. za ząbek z o. pow., 10 o. pow. na trzeci górny ząbek zaczepionych za trzeci końcowy sł. pierwszego ząbka poczem 1 o. ść., 1 półsł. 15 sł., 1 półsł., 1 o. ść. w ząbek z o. pow., 1 o. nizkie w ostatni słupek zaczętego ząbka, ze słupków poczem 15 sł. na dokończenie ząbka, 1 o. zaczepione w górze poprzecznego następnego sł. ażurowego brzegu. Odwrócić robotę 2 o. pow., 1 grupa słupków złożona z 3 sł. przedzie-



N. 7—8. Kołnierz i mankiet koronkowy do sukni ślubnej; patrz ryc. 4—6.



N. 16. Rękaw do płaszczyka. Krój N. XV.
N. 17. Rękaw podwójny do płaszczyka. Krój N. XVI.

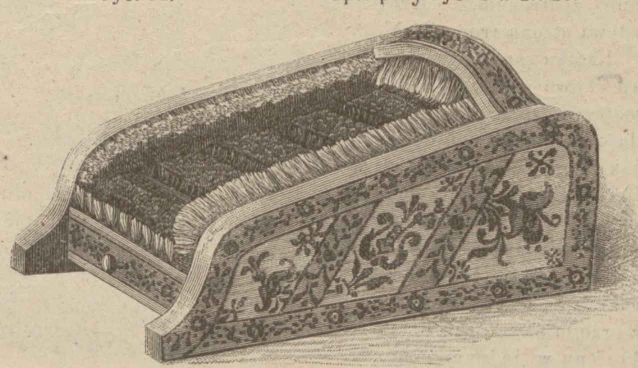


N. 18. Płaszczyk długi jesienny. Krój N. XII. Patrz ryc. 32.

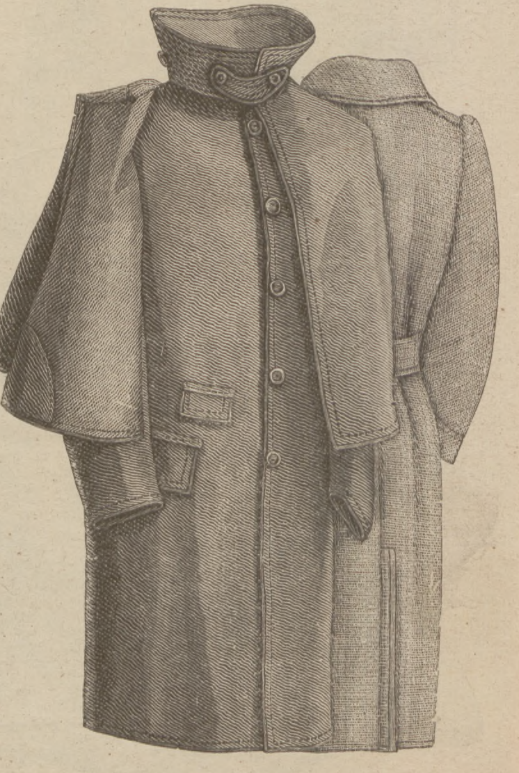
N. 19. Suknia przybrana aksamitem. Krój N. VIII. Opis przy ryc. 1 w N. 40.



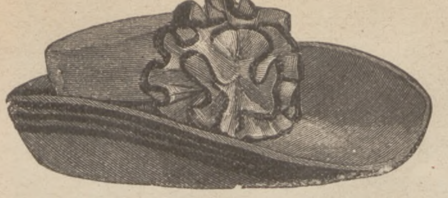
N. 20—21. Płaszczyk z przemaszczeniem dla panienki lat 12—14. Krój N. II.



N. 24. Szczotka do wycierania nóg. Deseń fig. 82.



N. 22—23. Paletot Hohenzollern z peleryną dla chłopca lat 10—12. Krój N. XIII.



N. 25. Kapelusz filcowy podróżny.



N. 26. Wzór na poduszkę, serwetę lub t. p. Patrz ryc. 27. Deseń fig. 83—84.

lanych 3 o. pow., zajętych w 4-ty sł.; robiąc ostatnie 3 o. pow. trzeba je zaczepić podług r. 13 za przeciwległe 3 o. pow. ostatniego zęba, 2 o. pow., 1 o. śc. w czwarty sł., 2 o. pow., 1 sł. w 4-ty sł. (przy tym w dalszym ciągu zaczepia się 2 sł.) 7 o. pow. w ciągu roboty tutaj podług ryc. 13 zaczepia się za 3 o. pow. między drugim a trzecim sł. przedostatniej grupy poprzedniego zęba, 2 o. pow., 1 grupa sł. w piąte z siedmiu o. pow., 2 o. pow., 1 o. śc. w 2 z siedmiu o. pow., 1 o. pow., 2 sł. przedzielone 3 o. pow. zajęte przy sł. pojedyńczym jak to wspomnieliśmy wyżej, 2 o. pow., 1 o. śc. za róg górnego ząbka, 2 o. pow., 1 grupa sł., w następny sł., 2 o. pow., 1 o. śc., w trzeci sł., 2 o. pow., 1 grupa sł. w trzeci sł., 2 o. pow., 1 o. śc., w trzeci sł., 2 o. pow., 1 grupa słupków w trzeci sł., 2 o. pow., 1 o. śc., 1 grupa sł. w czwarty sł., 2 o. pow., 1 o. śc., w czwarty sł. 2 o. pow., 1 grupa słupków w czwarty słupek 2 o. pow., i 1 o. śc. w trzecie z 3 o. pow. przy ząbku. Tak ząbek jest skończony a w dalszym ciągu roboty koronki 5 o. pow., 2 sł. przedzielone 2 o. pow., 5 o. pow., 7 sł., w 3—9 z 11 sł., 5 o. pow., 2 sł. przedzielone 2 o. pow., 3 o. pow., 1 sł. w trzecie z sześciu o. pow., 6 o. pow., 2 sł. przedzielone 2 o. pow., 7 o. pow., 3 o. śc. w 3—5 z 7-iu sł., 7 o. pow., 2 sł. przedzielone 2 o. pow., 3 o. pow., 1 sł., w drugie z pięciu o. pow., odwrócić robotę i powtarzać od gwiazdki.

N. 16. Rękaw do płaszczyka. Krój N. XV.

Gładki paletotowy rękaw można zmienić na modny dodając zwierzchu otwarty rękaw



N. 28—29. Paletot haftowany dla dziewczynki lat 3—5. Krój N. XIV; patrz ryc. 3—5 w N. 40.



N. 27. Haft do ryc. 26.



N. 32. Płaszczyk długi jesienny. Patrz ryc. 18. Krój N. XII.

N. 33. Ubranie do wycieczek w góry. Patrz ryc. 34—36.

N. 30—31. Kapelusz i płaszczyk jesienny. Patrz fig. 85.



N. 34. Spódnica podpięta krócej z tyłu; patrz ryc. 33—36.



N. 36. Przód nie podpięty do ryc. 33.



N. 35. Plecy do ryc. 34 i 36. Urządzenie brytów tylnych.

sięgający tylko do łokcia, na ramieniu wysoko namarszczony, który kraje się podług fig. 78. Górny brzeg wpuszcza się w pachę razem z rękawem, brzegi boczne niezszyte a dolny wycięty w zęby i zakończony haftem.

N. 17. Rękaw podwójny do płaszczyka. Krój N. XVI.

Długi zwierzchni rękaw ścięty u dołu w ząb szpiczasty dopasowywa się podług fig. 79; brzegi boczne zszyte tylko na 10 cent. wzdłuż, do gwiazdki; górny brzeg zmarszczony wszyty razem z rękawem paletotowym. Pod zwierzchni rękaw trzeba dać podszewkę z materyi jedwabnej, tego co płaszczyk koloru.

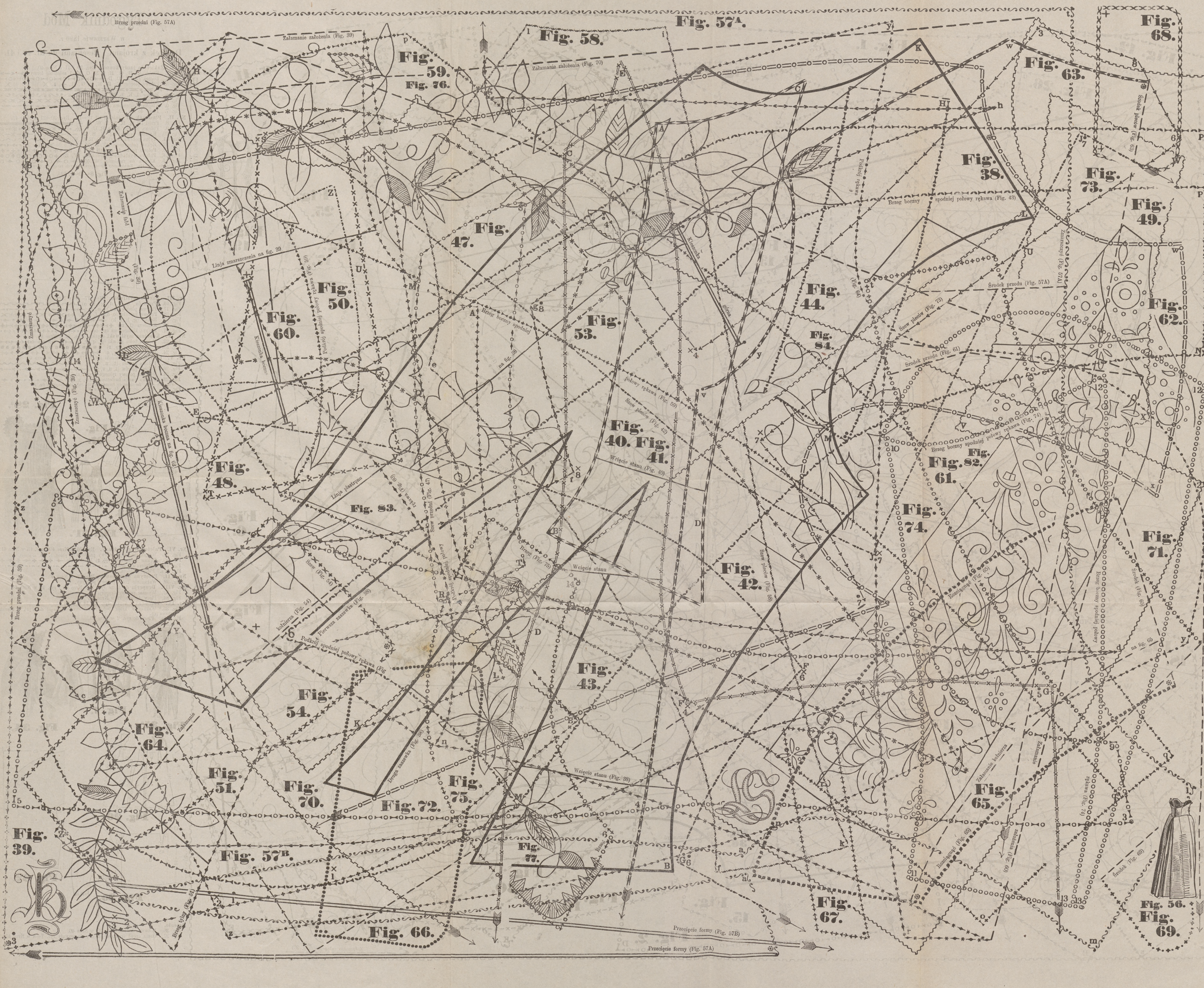
(Dokończenie nastąpi).



N. 37—38. Kapelusz filcowy okrągły.



N. 39. Kapotka zdobna kwiatami z piórek.



Tygodnik Mód

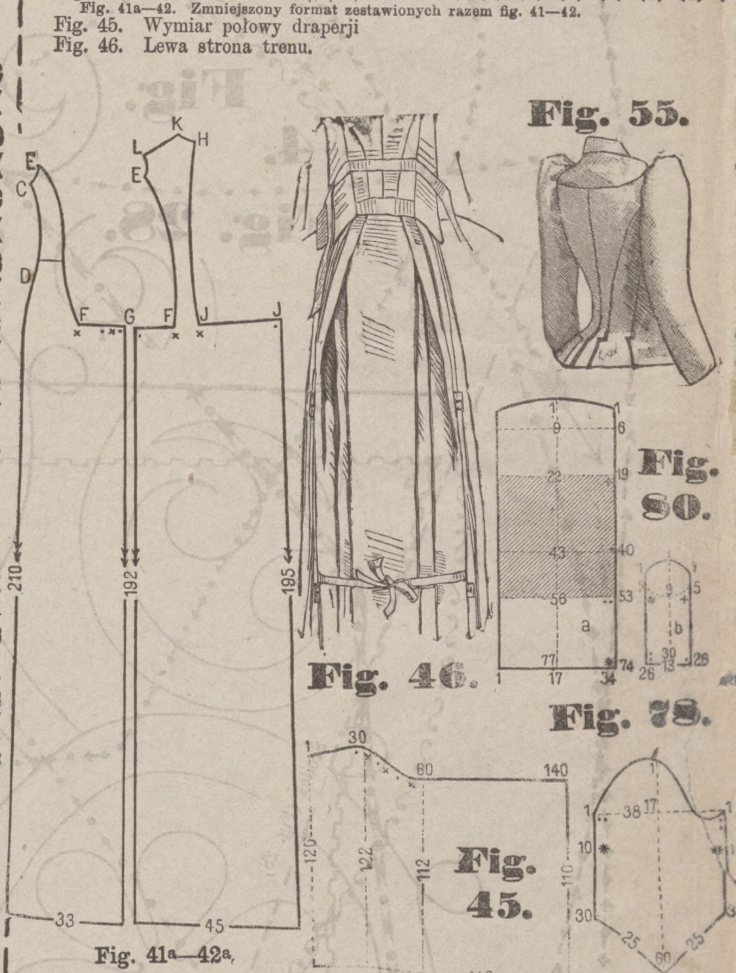
w Warszawie 1890 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 40 i 41.

Nr. X. Stanik krajany wraz z trenem i draperja do sukni ślubnej. Ryc. 4—8 w Nrze 41.

Miara objętości przez połowę: 47 cent. w gorsie, 30 cent. w pasie.

Fig. 38. Przód (z podszewki) (A, B, K, L, M, ✻, :)
Fig. 39. Przód z materjału (A, B, K, L, M, ✻, × 1 i • 1 do × 3 i • 3) 1 założenie formy
Fig. 40. Pierwszy boczek (A, B, C, D)
Fig. 41. Drugi boczek (C, D, E, F, G, × 4 i • 4 do × 5 i • 5)
Fig. 42. Połowa pleców (E, F, G, H, I, K, L, × 6 i • 6 do × 7 i • 7)
Fig. 43. Rękaw (M, N, O, P)
Fig. 44. Połowa kołnierza (H, •)
Fig. 41a—42. Zmniejszony format zestawionych razem fig. 41—42.
Fig. 45. Wymiar połowy draperji
Fig. 46. Lewa strona trenu.

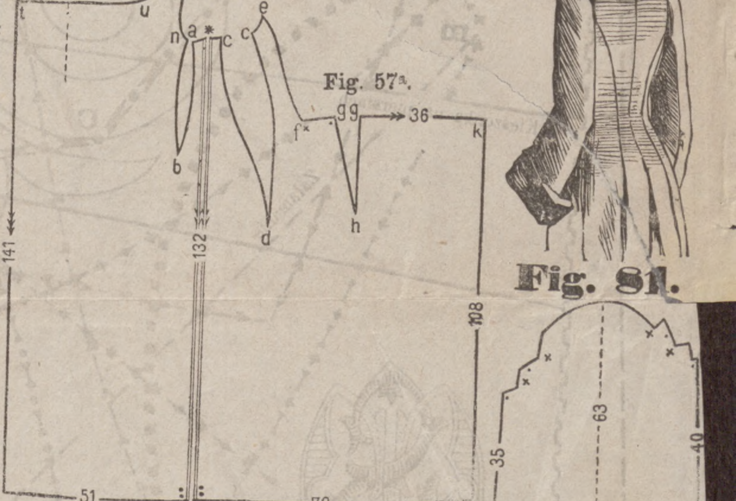


Nr. XI. Spódnica z paskiem gorsecikowym i kołnierz do sukni, ryc. 1 w Nrze 41.

Fig. 47. Pierwsza część przodu gorsecika (Q, R, S, T)
Fig. 48. Druga część przodu (S, T, U, V)
Fig. 49. Pierwszy boczek (U, V, W, X)
Fig. 50. Drugi boczek (W, X, Y, Z)
Fig. 51. Połowa pleców (Y, Z)
Fig. 52. Wymiar połowy spódnicy
Fig. 53. Połowa kołnierza do kaftanika (✻, :)
Fig. 54. Kołnierz wykładany (✻, :)
Fig. 55. Plecy kaftanika
Fig. 56. Suknia przedstawiona z tyłu.

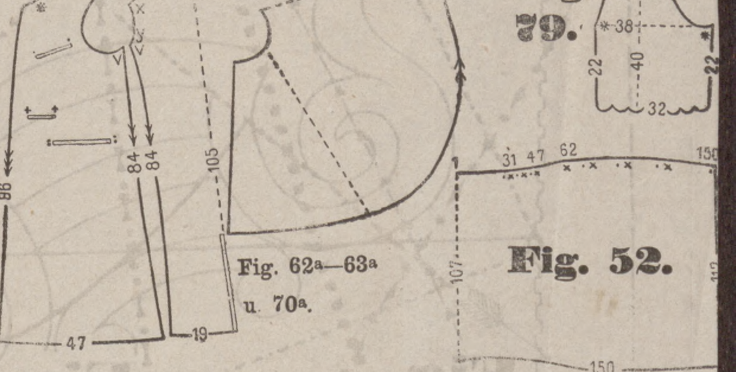
Nr. XII. Płaszczyk jesienny. Ryc. 18 i 32 w Nrze 41.

Fig. 57. Przód wraz z pierwszym i drugim boczkiem, tudzież bryt tylny. Forma przecięta.
Fig. 57A. Przednia część formy (a, b, l, m, n, t, u, ✻, :)
Fig. 57B. Tylna część formy (c, d, e, f, g, h, k, ✻, :, × 8 i • 8)
Fig. 58. Połowa pleców (e, f, i, k, l, m)
Fig. 59. Rękaw (podszewka) (n, o, p, q, r, s)
Fig. 60. Rękaw (z materjału) (n, r, s, +, •) 1 założenie formy
Fig. 61. Połowa kołnierza (i, t)
Fig. 57a. Zmniejszony format zestawionej fig. 57A i 57B.



Nr. XIII. Płaszczyk Hohenzoller, dla chłopca lat 10-12. Ryc. 22-23 w Nrze 41.

Fig. 62. Przód (v, w, x, ✻, :, •, +)
Fig. 63. Połowa pleców (v, w, x, y, ✻)
Fig. 64. Rękaw (y, z)
Fig. 65. Połowa kołnierza (✻)
Fig. 66. Klapka do kieszeni bocznej (:)
Fig. 67. Klapka do górnej kieszonki (•)
Fig. 68. Klapka do trzeciej kieszonki (+)
Fig. 69. Połowa patki do kołnierza
Fig. 70. Połowa pelerynki. 1 założenie formy
Fig. 62a—63a i 70a. Zmniejszony format zestawionych razem fig. 62—63 i 70.



Nr. XIV. Paletocik z haftem (Mountmellick) dla panienki lat 3—5. Rycina 28— 9 w Nrze 41.

Fig. 71. Przód (1, 2, 8, 9, 10, 14)
Fig. 72. Boczek (1, 2, 3, 4, 5, 9)
Fig. 73. Połowa pleców (3, 4, 5 6, 7, 8)
Fig. 74. Rękaw (10, 11, 12, 13)
Fig. 75. Kołnierz (16, 14)
Fig. 76—77. Desenie.

Nr. XV. Rękaw zwierzchni okrągły. Ryc. 16 w Nrze 41.

Fig. 78. Wskazanie kroju połowy rękawa (✻)

Nr. XVI. Rękaw ścięty w róg. Ryc. 17 w Nrze 41.

Fig. 79. Wskazanie kroju połowy rękawa (✻, :)

Nr. XVII. Torebka na książki. Ryc. 38 w Nrze 40.

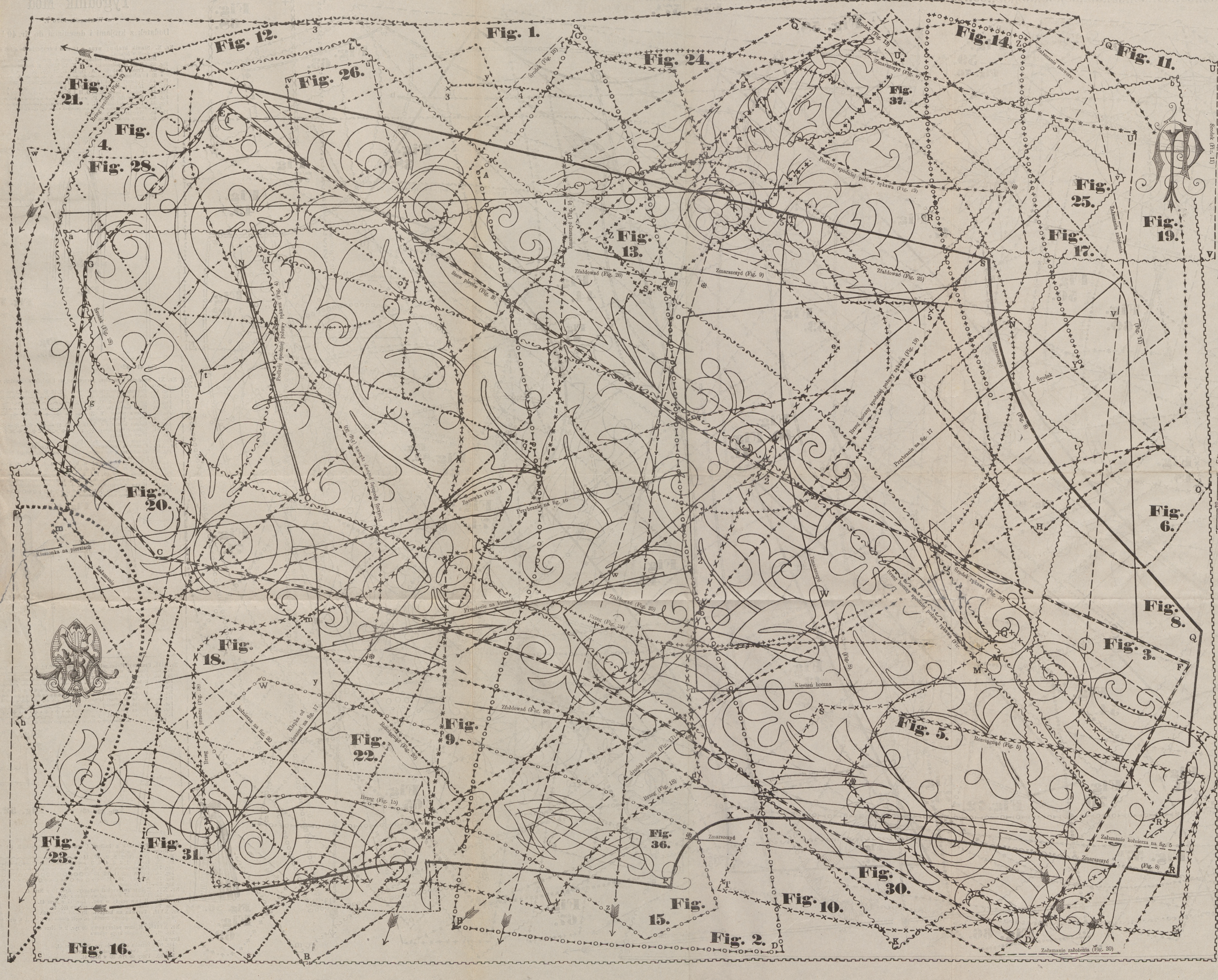
Fig. 80. Wymiar połowy torebki (*a.* część główna [*, :, +, .], *b.* część boczna [*, :, +, .]).

Nr. XVIII. Rękaw pelerynowy do ryc. 2 w Nrze 40.

Fig. 81. Wskazanie kroju rękawa

Desenie.

Fig. 82. Ścianka boczna do ryc. 24 w Nrze 41.
Fig. 83—84. Dopełnienie szlaku do serwet i t. p. Ryc. 26—27 w Nrze 41.
Fig. 85. Plecy do ryc. 30 w Nrze 41.



Tygodnik Mód

w Warszawie 1890 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 40 i 41.

Nr. I. Żakiet do jazdy konno. Ryc. 29 i 31 w Nrze 40.
- Fig. 1. Przód (A, B, G, H, I, N, O, ✻) 1 założenie formy
- Fig. 2. Boczek (A, B, C, D)
- Fig. 3. Połowa pleców (C, D, E, F, G, H, +, :, × 1 i • 1 do × 2 i • 2)
- Fig. 4. Rękaw (I, K, L, M)
- Fig. 5. Kołnierz wykładany (E, ✻)
- Fig. 6. Klapka kieszeniowa (N, O)
- Fig. 7. Plecy do ryc. 29.

Nr. II. Płaszczyk dla panienki lat 12—14. Ryc 20—21 w Nrze 41.
- Fig. 8. Przód (P, Q, R, S, T, W, X, +)
- Fig. 9. Połowa pleców (P, Q, R, U, V, ✻, •)
- Fig. 10. Karczek przedni (Q, R, S, T)
- Fig. 11. Tylna połowa karczka (Q, R, U, V)
- Fig. 12. Rękaw pelerynowy (W, X, × 3 i • 3 do × 5 i • 5)
- Fig. 13. Połowa paska do szyi (S, U, Y, Z)
- Fig. 14. Połowa wykładanego kołnierza (Y, Z)
- Fig. 15. Klapka do ramienia (W, ✻)

Fig. 8a—9a i 12a. Zmniejszony format zestawionych razem fig. 8—9 i 12.

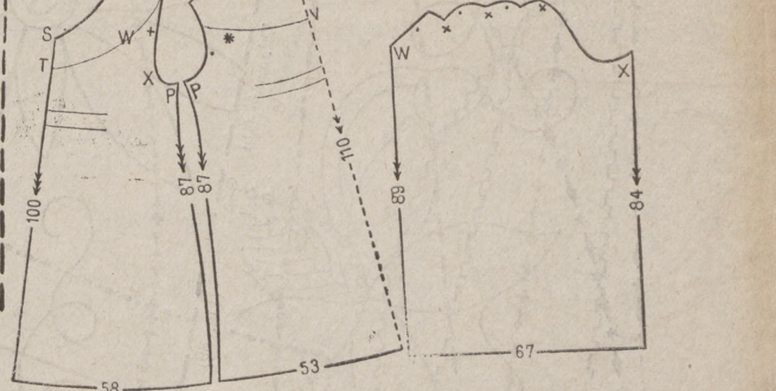


Fig. 8a—9a u. 12a.

Nr. III. Kurtka myśliwska. Ryc. 17—18 w Nrze 40.
- Fig. 16. Przód (a, b, c, d, g, n, o)
- Fig. 17. Połowa pleców (a, b, e, f)
- Fig. 18. Połowa karczka (c, d, e, f, l, m)
- Fig. 19. Rękaw (g, h, i, k)
- Fig. 20. Kołnierz (l, m)
- Fig. 21. Klapka kieszeniowa (n, o)

Nr. IV. Kapelusz myśliwski męzki. Ryc. 22 w Nrze 40.
- Fig. 22. Połowa boku główki (p, q, r, s)
- Fig. 23. Połowa denka (p, r)
- Fig. 24. Połowa rondka (q, s)

Nr. V. Fartuszek dla panienki lat 9—11. Ryc. 34 w Nrze 40.
- Fig. 25. Połowa przodu (t, u, v, w, x)
- Fig. 26. Połowa pleców (t, u, v, y, z)
- Fig. 27. Wymiar połowy tylnego bryta (z)
- Fig. 28. Połowa paska bawetowego (w, x, y)

Fig. 25a—26a. Zmniejszony format fig. 25—26 zestawionych z fig. 27.
- Fig. 28a. Plecy do ryc. 34 w Nrze 40.

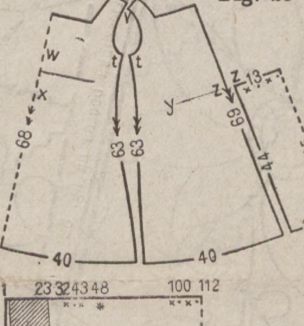


Fig. 25a—26a.

Fig. 27.



Fig. 28a.

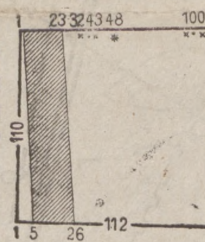


Fig. 33.



Fig. 31a.

Nr. VI. Paletot długi wcinany. Ryc. 26 w Nrze 40 i ryc. 15 w Nrze 41.
- Fig. 29. Wskazanie kroju połowy paletota (*a.* przód, *b.* bok, *c.* plecy).
- Fig. 30. Rękaw z deseniem (✻, :) 1 założenie
- Fig. 31. Kołnierz z deseniem
- Fig. 31a. Plecy paletota.

Nr. VII. Peleryna burnusowa. Ryc. 25 w Nrze 40.
- Fig. 32. Wskazanie kroju połowy peleryny.

Nr. VIII. Draperja do sukni ryc. 1 w Nrze 40 i ryc. 19 w Nrze 41.
- Fig. 33. Wymiar połowy draperji
- Fig. 34. Plecy do ryc. 19 w Nrze 41.

Nr. IX. Vêtement do sukni ryc. 2 i 14 w Nrze 41.
- Fig. 35. Wskazanie kroju połowy vêtement (*a.* część dolna [*], *b.* wierzch rękawa [:]).
- Fig. 35a. Plecy do ryc. 2 w Nrze 41.



Fig. 35a.

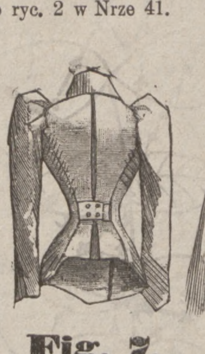


Fig. 7.



Fig. 34.

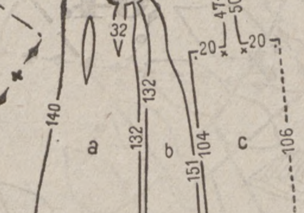


Fig. 29.

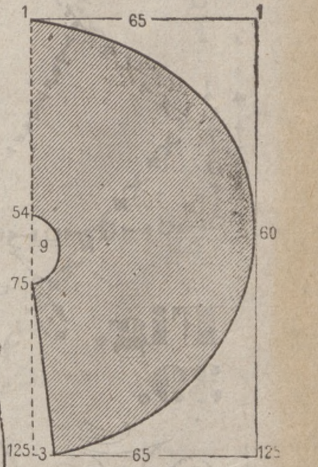


Fig. 32.

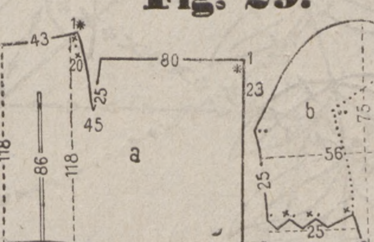


Fig. 35.

Desenie.
- Fig. 36. Kotwica, haft do ryc. 33 w Nrze 40.
- Fig. 37. Ósma część środkowej figury do serwety ryc. 7—8 w Nrze 40.